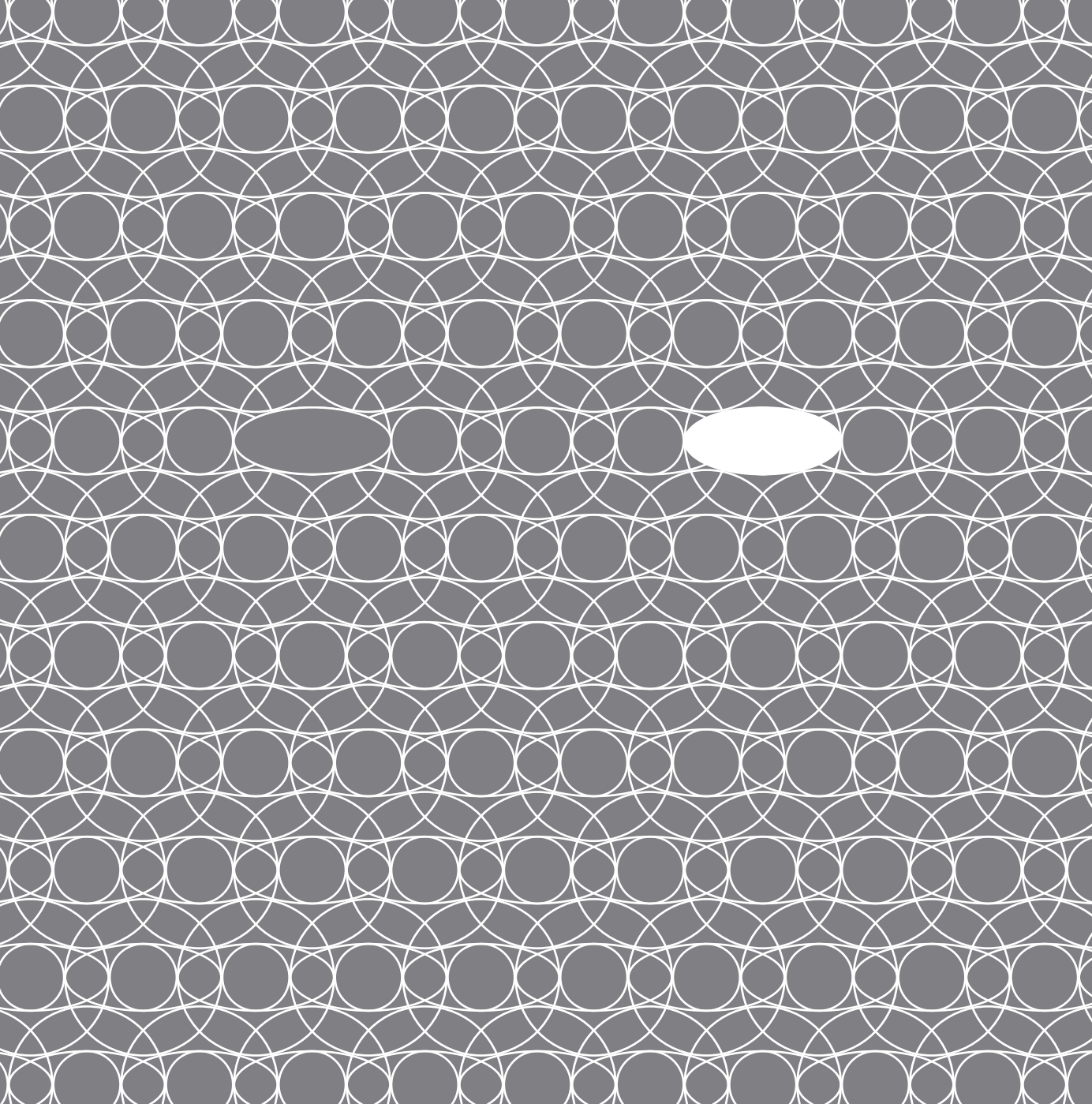

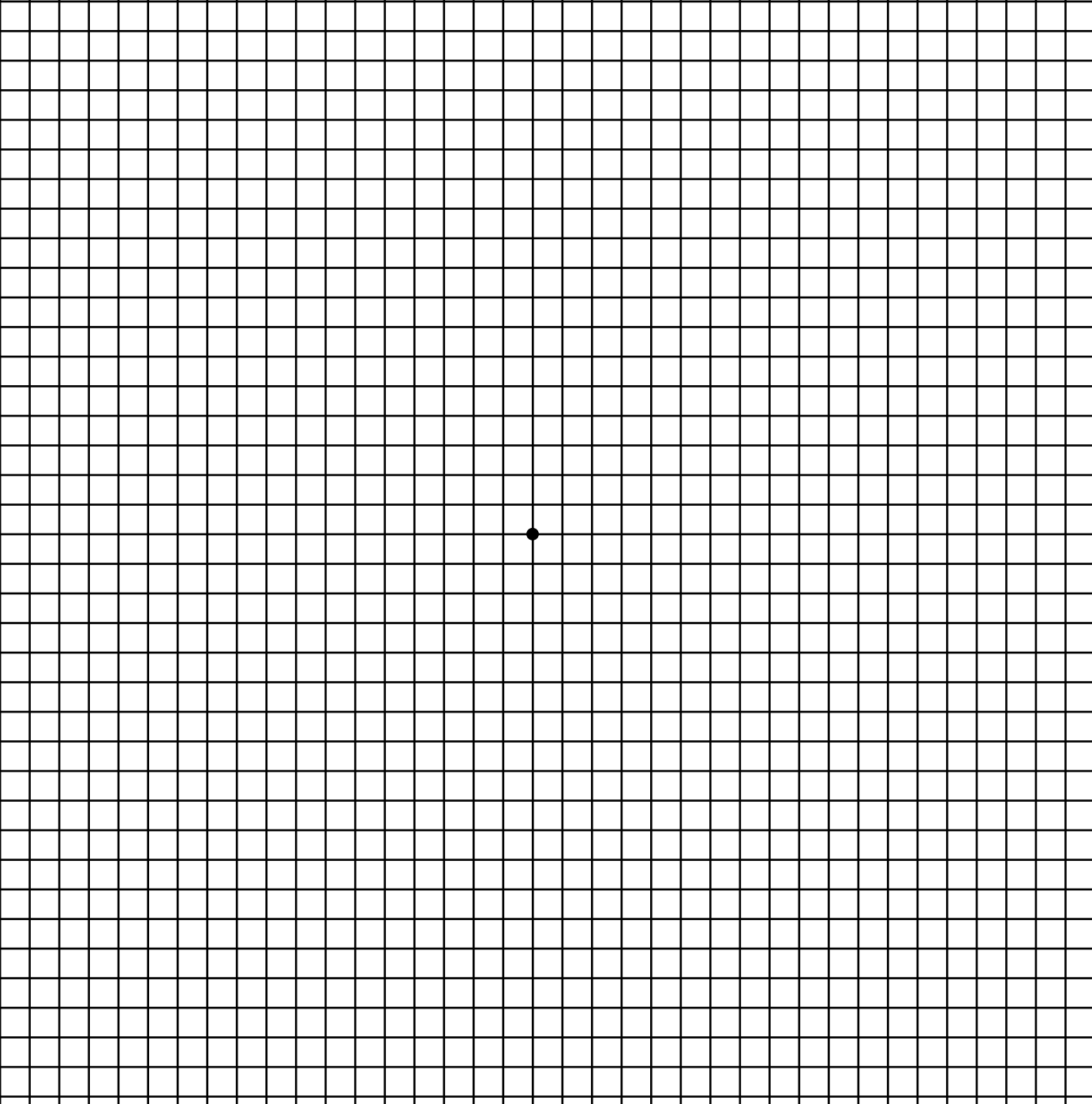

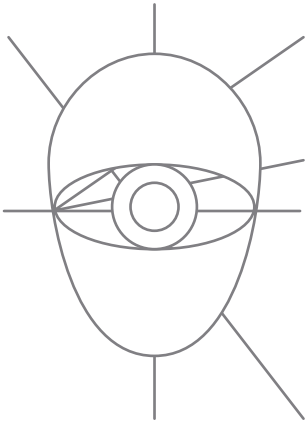

Niniejszy egzemplarz nie jest i nie może być niczyją własnością. Jest bytem całkowicie autonomicznym, wyzwolonym. Porusza się wolno w polu kultury. Nie może podlegać żadnym formom wymiany towarowo-pieniężnej. Nie może być sprzedawany, kupowany ani wymieniany na inne dobra, usługi lub papiery wartościowe. Każda próba tego rodzaju praktyk stanowi symboliczne i faktyczne unicestwienie niniejszego dzieła i jego nośnika.

e-book,
edycja nielimitowana

ROMAN DZIADKIEWICZ

POWIERZCHNIOLOGIA

Zamiast skręcić w lewo, poszedłem kilkadziesiąt kroków w dół, w stronę małego placu wyłożonego nieregularnie ciosanymi płytami piaskowca. Ryneczek, otoczony przytulnymi kawiarenkami, w których podają starannie przyrządzane według receptur najwybitniejszych archeologów kulinarnych lokalne, endemiczne gatunki ryb, płazów i gadów z różnych epok, delikatnie opada ku linii brzegu. Biały piasek i żwir oblewają leniwie szumiące fale jeziora. Woda mineralna w tym zbiorniku pozwala zachować młodość powłoki skórnej. Obsługujący turystów lokalny gatunek naczelnych charakteryzuje się wyjątkową uprzejmością i pięknymi, długimi spojrzeniami prosto w oczy. Między innymi dlatego chętnie tu wracam. Powierzchnia jeziora zazwyczaj jest niemal nieruchoma. Otoczony górami zbiornik dostarcza chłodnych powiewów, spektakularnych doznań estetycznych oraz wody pitnej przeogromnej, wielogatunkowej populacji przyrody ożywionej w promieniu kilkuset kilometrów. Słońca świecą tu równomiernie i intensywnie. Podczas gdy ja spacerowałem, T. wrócił do domu. Bardzo lubię jego spokój, niefrasobliwość, niechęć do współczesnych technologii komunikacyjnych i bycia zalogowanym. Kiedy po wykonaniu i zarejestrowaniu bardzo oryginalnej figury meandrycznej w starożytnych uliczkach miasta wróciłem do naszej kwatery, siedział na schodach wejściowych i, czekając na mnie, stawiał trzy jednakowe butelki piwa w różnych konfiguracjach geometryczno-rytmicznych. Przyglądał się długo każdemu układowi, rejestrował go w pamięci wewnętrznej i przechodził do kolejnego. Kocham go za jego wrażliwość i poczucie humoru. W tym uwodzącym i wciąż przerażającym wszechświecie, w którym życie polega głównie na mijaniu się, jest on bez wątpienia jedną z najważniejszych istot w mojej prywatnej sieci partnerów i partnerek w różnym wieku, różnej płci i różnych gatunków, zamieszkujących środowiska o różnorodności przyprawiającej o zawrót głowy.

Wspaniale jest budzić się codziennie rano z poczuciem, że świat oferuje tak wiele możliwości, a czas rozkłada się leniwie, oddając nam oraz naszej niezwykle rozwiniętej i wysublimowanej kulturze i technologii pełnię starannie redystrybuowanej władzy nad naszymi organizmami i otaczającym środowiskiem. Dzięki mądrości i doświadczeniu, mając w pamięci najczarniejsze chwile

z przeszłości, korzystamy z tej władzy w sposób rozważny i pełen wrażliwości na wszelkie aspekty odkryte przez naszych filozofów, fizjologów i technologów procesów twórczych.

Moje dłonie zbudowane są ze ścięgien, tkanek, kości, stawów i elementów syntetycznych. Spokojne działanie czasu i informacji sprawiło, że włókna ludzkich komórek splotły się i wciąż utrzymują mnie jako mnie w stanie powolnych, lecz wciąż dynamicznych zmian. Pomimo wielu transplantacji, przeszczepów, ingerencji protetyków oraz innych operacji medycznych i biochemicznych dokonywanych na moim organizmie, bez wątpienia nadal pozostaję sobą. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość dystrybuowane są równo i sprawiedliwie w moim ciele i w ciałach wszystkich żywych i nieżywych uczestników życia społecznego.

Intensywność spojrzenia mierzymy w marinach, ekstensywność w cezanne'ach. Według specjalistów w bieżących relacjach międzyludzkich najlepiej jest utrzymywać intensywność kontaktu wzrokowego na poziomie 30–60 cez. Ekstensywność, czyli zakres pola omiatanego spojrzeniem, powinna zależeć od czasu, w jakim realizujemy daną sesję. Osobiście uważam, że nie należy patrzeć zbyt szybko. Szybkie spojrzenia były w antropocenie bezpośrednią przyczyną rozwoju toksycznych fantazmatów. Te zaś, jak wiadomo, generowały asymetryczne relacje władzy. Są oczywiście autorytety, które zalecają częste zerkanie i rzucanie spojrzeń w różnych kierunkach dla odświeżania percepcji. Według mnie są to odrobinę wulgarne techniki. Jestem osobnikiem starej daty i jako człowiek dwóch, a nawet trzech epok preferuję raczej długie i spokojne sesje patrzenia ukierunkowane na precyzyjnie wybrany cel, połączone naprzemiennie z długimi i szerokimi spojrzeniami, którymi obejmuje się rozległe pejzaże miejskie, wiejskie, nijakie, pustynne lub morskie. Przyjaciółka z Laponii zaleciła mi regularne i długie spoglądanie w niebo, do czego staram się skrupulatnie stosować.

Aplikacje *Move* i *Watch* bezpośrednio kontrolują, dokumentują i analizują tory i wektory naszych zmian pozycji ciała oraz ruchy poszczególnych kończyn w przestrzeni, podobnie jak wszelkie zmiany ciśnienia w gałkach ocznych, ich sakkady i inne parametry spojrzenia.

Wtle, z doskonałej jakości głośników, sączy się rozpisana na wiele kanałów muzyka klasyczna. Tak, to wspaniale, że wszędzie, nawet na terenach dawnych Węgier, w przestrzeniach publicznych, na stacjach przesiadkowych, w parkach i wokół terenów rekreacyjno-sportowych z doskonałej jakości głośników ukrytych w starannie zaprojektowanych, minimalistycznych detalach architektonicznych sączy się muzyka klasyczna z różnych okresów historycznych. Oczywiście, jeśli ktoś nie chce tego słuchać, może operacyjnie wszczepić sobie mikropotencjometr blokujący wybrane częstotliwości, na stałe pozbawić się odbioru wybranych pasm albo po prostu zastosować tradycyjne hydrożelowe zatyczki do uszu.

Jadam zdrowo. Fakt, w dzisiejszych czasach nie jest to trudne. Producenci prześcigają się w oferowaniu produktów coraz wyższej jakości, chcąc zadbać o zdrowie i urodę konsumentów oraz środowisko naturalne. Miłość do drugiego człowieka i, rzecz jasna, nie tylko do człowieka, przenika cały nasz przemysł spożywczy. Jeśli chodzi o fasolę, zamawiam ostatnio tylko tę w srebrnych puszkach. Jest o niebo lepsza [zapis urwany].

Jedną ze zdobyczy informatyków było oficjalne uznanie faktu, któremu i tak od dawna podlega nasze życie – doba ma mniej więcej, uśredniając kryteria nieliniowe i przeliczając na tradycyjne podziały astronomiczne, trzydzieści dwie godziny. Nie są one, jak wiadomo, uporządkowane równomiernie. Mają formę złożonego algorytmu o konstrukcji spiralnie skręconych monad, który za każdym

razem precyzyjnie wylicza czas i miejsce akcji. Wzór uwzględnia okoliczności jednoczesnego przebywania w czasie realnym i wirtualnym oraz prędkość podróżowania między tymi czasoprzestrzeniami. Każdorazowo oblicza i uzgadnia osobisty czas aktualny z czasem osoby lub zdarzenia, z którymi to uzgodnienie jest w danym momencie wymagane. Nie znam się na tym, ale to działa i, na szczęście, od dawna nie stanowi żadnego problemu, chociaż w przeszłości zdarzało się mnóstwo zabawnych lub tragicznych nieporozumień. Odkrycie i uporządkowanie tak rozumianej struktury czasu okazało się niezwykle przydatne w podróżach międzyplanetarnych oraz podczas dłuższych pobytów w przestrzeniach wirtualnych. Dotyczy to szczególnie ich najczarniejszych rejonów. Koncepcja ta współgra z całym obszarem badań i eksperymentów nad teleportacją osób, rzeczy i idei, z biochemicznymi i genetycznymi praktykami, dzięki którym wielu z nas żyje w perspektywie zbliżającej się wielkimi krokami nieśmiertelności. Poza tym, od kiedy każdy i każda z nas praktycznie większość czasu spędza w samotności, w wirtualu lub podróżując międzyplanetarnie, posługiwanie się jednym, uproszczonym, równoleżnikowo i liniowo uporządkowanym systemem pomiaru czasu straciło sens. Informatycy słusznie zauważyli, że przez lata tego rodzaju czas był, obok lęku przed śmiercią, jednym z najbardziej upokarzających i najgłębiej uwewnętrznionych narzędzi tradycyjnie rozumianej władzy. Czas, z pozoru wspólny, należał faktycznie do tych, którzy posiadali środki produkcji i kapitał. Wszyscy gniliśmy w jego bezwzględnych okowach, rodząc się, wegetując i umierając w poczuciu strachu i bezradności, wyprzedając należne nam jego małe, intymne skrawki, wykorzystywani jako najemnicy lub niewolnicy. Po rewolucji ogromne zasoby czasu wolnego, skoncentrowane wcześniej w rękach małej grupy posiadaczy, zostały uspołecznione. Praca najemna, biotop śmierci i cywilizacja kłamstwa [tekst nieczytelny].

Tak, trudno to sobie wyobrazić, ale przed rewolucją ludzie zamykali na klucze i ciężkie zasuwy drzwi do swoich mieszkań, w których żyli z tak zwanymi rodzinami, praktycznie nie znając sąsiadów. Zapinali na łańcuchy rowery i instalowali urządzenia alarmowe. Pierwsi tak zwani pukacze pojawili się tuż po epizodzie

z chlebem. Pukali oni do sąsiadów, zapoznawali się z nimi, zagadywali, obdarzali uśmiechami i obejmowali. Nastąpiło nagłe wyzwolenie z głębokich przekonań. Był to początek przełomu, po którym rewolucja z fazy destabilizacji i negacji starego hierarchicznego systemu przeszła do etapu tworzenia nowej wspaniałej rzeczywistości.

Podobno zasoby jedzenia oraz pamięci są nieograniczone i wciąż dynamicznie rosną w zależności od potrzeb, które są coraz precyzyjniej prognozowane przez skomplikowane urządzenia i w pełni transparentne urzędy monitorujące i opracowujące coraz doskonalsze skrypty przyszłości. Trochę gorzej jest z dobrą, naturalną wodą z wnętrza ziemi. Powietrze zostało względnie oczyszczone i jest niemal całkowicie przezroczyste. Jedynie na fotografiach wykonywanych pod światło obserwujemy delikatną, szarożółtą mgiełkę.

Lubię wyjeżdżać, czasem na dłużej, czasem na krócej. Za miasto. Tam też żyją ludzie i nie-ludzie. W harmonii z naturą, jak to się mówi. Są nasi bracia i siostry, są obcy i zagubieni we wszechświecie albo imigranci z wyboru. Nie ma się co dziwić. Można spotkać bardzo piękne okazy naczelnych różnych gatunków i ras. Poświęcam im mnóstwo czasu i uwagi. Zdarza się, że całymi godzinami wpatruję się w pięknie komponujące się grupy osób pracujących w polu lub w ogrodzie. Dostaję w zamian mnóstwo świeżych owoców i warzyw. Życie tych istot jest zupełnie inne niż moje, opiera się o wiele bardziej na dotyku i na o wiele niżej osadzonym środku ciężkości. Krajobrazy tam pełne są miejsc, którym pozwolono na swobodne pozostawanie takimi, jakimi były niemal od zawsze, bez zabezpieczeń i oczekiwań, bez dociekań przyczyn i skutków oraz bez widocznych ingerencji. Oczywiście, nie zapuszczam się tak głęboko. Jednak chyba dobrze, że nie cały świat został powleczony.

Nie, nie starzeję się. Kiedyś nazywano to magią. W dwudziestym pierwszym i drugim wieku przed rewolucją poświęcano mnóstwo energii na ruch, higienę, produkcję zdrowej żywności oraz na badania biochemiczne. Dziś polega to głównie na stałym przebywaniu w czasie teraźniejszym. Powszechne pragnienie wiecznej młodości spełnia się na naszych oczach.

Swobodnie leżąc na rozgrzanym piasku nad brzegiem dużego zbiornika krystalicznie czystej wody, pośród pachnących krzewów rozmarynu pięć lub sześć osób różnej płci, różnego pochodzenia społecznego i w różnym wieku oddaje się wzajemnemu łaskotaniu. Są to osoby raczej młode, chociaż kategoria młodości w dzisiejszych czasach straciła swą dawną ostrość, o ładnej, z dbałością kształtowanej morfologii i o spokojnych spojrzeniach. Ich ruchy, choć powolne i leniwe, pozostają precyzyjne, zmysłowe i pewne. Niektórzy i niektóre smyrają partnerów lub partnerki bezpośrednio, za pomocą kończyn górnych lub dolnych o starannie wypielęgnowanych palcach i paznokciach, inni i inne używają do tego miękkich liści, kwiatów na długich łodygach lub starannie wyselekcjonowanych gatunków traw ozdobnych i pampasowych, takich jak rozplenice piórowe i miodowe, turzyce czy miskanty. Cała scena przywodzi na myśl dziewiętnastowieczne malarstwo, z tą jednak różnicą, że nie jest ona, jak w przypadku klasycznego malarstwa, męską fantazją na sprzedaż, lecz dzieje się naprawdę, tu i teraz, a jej uczestnicy i uczestniczki robią to dla swojej, wspólnej i cudzej przyjemności.

Cóż, im swobodniej poruszamy się wewnątrz naszego złożonego i zapewniającego nam spełnienie wszelkich potrzeb systemu, tym częściej musimy się godzić na jego wielowymiarowe umocowanie, na konstrukcje i ramy – prawne, instytucjonalne, technologiczne czy filozoficzno-polityczne – podtrzymujące jego istnienie. Oczywiście, unia globalna sprzyja temu, by poszczególne regiony rozwijały się na swój sposób oraz zachowywały lokalny koloryt i oryginalne nazwy własne elementów krajobrazu, a także regionalne produkty, usługi czy popularne w danym miejscu aktywności.

Podobno sprzeczności logiczne, aporie i dyssensy kodowane są neurolingwistycznie w płatach ciemieniowych kory mózgowej. Będąc w bezpośrednim kontakcie z pionowo padającymi na głowy organizmów żywych promieniami słonecznymi (pobudzającymi do działania szyszynkę, czego na nowo dowiedli ostatnio badacze), są do pełnej wydolności organizmu tak potrzebne jak witaminy i mikroelementy. Ich niedobór lub brak powoduje zaburzenia fizjologiczne. Nie znam się na tej nowej biochemii, która mnóstwo rzeczy ponazywała zupełnie inaczej, używając do tego bardzo często przedrewolucyjnych kategorii, co tylko dodatkowo komplikuje nadążanie za niemal codziennie dokonywanymi odkryciami badaczy i badaczek. Jednak do sprzeczności mam nieodparty sentyment już od czasów przedrewolucyjnych.

Rzeka informatyczna, która od lat przepływa przeze mnie i przez mnóstwo miejsc, osób, maszyn samouczących się i rzeczy, meandruje, niosąc ze sobą skarby i śmieci. Nie bardzo mam siłę i chęć, by je wydobywać i segregować. Zauważyłem, że ograniczając bodźce, odczuwam coraz więcej. Obiecano mi, że będzie odwrotnie. Powinienem się poddać terapii odczuwania, dać wykastrować albo nie wiem. Czuć coraz mniej. Może kiedyś dojdę do idealnego stanu całkowitego bezczucia. Koleżanka przeszła taką terapię i bardzo ją sobie chwali. Imponuje mi jej spokój i poprawność. Coraz bardziej interesuje mnie zwyczajna i obojętna poprawność. Ludzie i inne organizmy powinny robić wszystko bez nadmiernego silenia się na oryginalność, bez zaskakiwania się wzajemnie. Robić swoje dobrze albo nic nie robić. Nic nie robić jest najtrudniej, wiem. Na szczęście, mnóstwo powierzchni, które jeszcze niedawno powlekano lakierami, dziś pozostawia się w stanie surowym, co ma nie tylko wartość ekologiczną i optyczną, ale przede wszystkim etyczną.

Dystrybucja leków, środków znieczulających, antyalergenów i projektowanych na indywidualne zamówienia narkotyków odbywa się już od dawna w sposób całkowicie zautomatyzowany i horyzontalny, bez żadnego instytucjonalnego zapośredniczenia.

Wielowymiarowość naszego życia starannie zresztą stymulują wszystkie zainteresowane strony. Zawsze ktoś coś ma i chętnie dzieli się tym, co ma, wiedząc, że zawsze może liczyć na innych. Zwyczaj, za którym nic nie stoi – ani poczucie interesu, ani empatia, ani inne wzniosłe uczucia. Po prostu, z powodów czysto pragmatycznych, już od dawna funkcjonuje to w ten sposób i jesteśmy zadowoleni. Dobrze od czasu do czasu zażyć coś, co nie jest nam precyzyjnie dedykowane.

Zatrzenie to podróżowanie. Moje maleńkie jak siedemnastowieczny obraz biuro podróży zatrudnia przewodników i koneserów zafascynowanych detalami kultury wizualnej. Oferujemy wielogodzinne spacery lub kilkudniowe wycieczki w wybrane zakamarki obrazów, kolaży, fotografii lub malutkich fragmentów rzeczywistości wirtualnej i realnej. W ofercie mamy także dotyk, pieszczoty, muskanie, smyranie, łaskotanie oraz spacery i warsztaty patrzenia z elementami spojrzeń ekstremalnych z użyciem różnego rodzaju oświetlenia.

Momentem granicznym, a z konserwatywnej perspektywy krytycznym, było poradzenie sobie z nieodwracalnością śmierci. Jedyny cień, jaki kładł się na każdym pojedynczym działaniu człowieka i innej istoty, cień, którym podszyta była każda najprostsza i najbardziej skomplikowana myśl, nagle przestał mieć znaczenie. Sztuka – jako forma wyrażania egzystencjalnych dramatów jednostek i społeczeństw albo, w najlepszym wypadku, absurdu życia doczesnego – skończyła się z dnia na dzień. Wszystko stało się widzialne i teraźniejsze, wszystko stało się tym, czym jest i niczym, absolutnie niczym więcej. Możemy spokojnie zająć się odkrywaniem zupełnie nowych form i obszarów percepcji. Zniknęło aksamitne futerko, którym podszyte były przyjemności i rozkosze. Przestaliśmy nurkować w mrocznych otchłaniach egzystencjalnych zagadek, ponieważ nagle rozwiązały się one niemal jednocześnie na wszystkich kontynentach i we wszystkich dziedzinach kultury, sztuki i życia społecznego.

MILLER

Tam, gdzie duch miejsca na gorącym piachu kopuluje z duchem czasu [...].

Wpadek cywilizacji kłamstwa umożliwił inne spojrzenie na kategorię bezpieczeństwa w relacji do kategorii wolności.

Tak, nie ukrywam, że przez niektórych krytyków i historyków teraźniejszości jestem przywoływany jako jeden z pionierów zmian, które w ostatnim stuleciu nastąpiły skokowo. Moje intuicje, głęboka miłość do świata, jakikolwiek on jest czy był, a przede wszystkim miłość do sztuki jako najbardziej czułego, wyrafinowanego i wnikliwego sposobu poruszania się po złożonej rzeczywistości z czasem okazały się inspirujące dla innych. Jestem spełniony, moje poczucie wartości jest stabilne i niezachwiane. Nie żałuję, że pierwsze sześćdziesiąt lat życia upłynęło wśród frustracji, kpin, przemilczeń i marginalizacji. Do nikogo nie mam o nic pretensji. Moje serce przepełnione jest miłością, spokojem i akceptacją nawet dla najbardziej paskudnych botów podających się za moich byłych kochanków, którzy do tej pory nie pooddawali mi papierowych książek, winylowych płyt i cyfrowych obrazów, za którymi już dawno przestałem tęsknić.

Geniusz naszych czasów nie jest już dłużej więziony w męskich głowach czy w kobiecych sercach. Głowy i serca zostały pootwierane, a geniusz wypuszczony i teraz wolno unosi się, dryfując w czystym jak łzy powietrzu. Powietrzu, którym wszyscy demokratycznie i egalitarnie oddychamy, bez pośpiechu, spacerując po starannie utrzymanych i dyskretnie oświetlonych ulicach i skwerach, uśmiechając się do siebie życzliwie. System centralnej nawigacji utrzymuje kontrolę nad nami, liczy nasze kroki, bada puls i tętno. I bardzo dobrze, czasem się człowiek zamyśli na spacerze i nagle nie wie, gdzie jest. Nie trzeba wtedy nikogo o nic pytać.

System w odpowiedzi na zapytanie natychmiast przesyła nam informacje. Ludzie mieli kiedyś wobec siebie tyle agresji i resentymentu, że trudno to sobie dziś wyobrazić. No i strasznie śmierdziało im z ust, a geniusz raz po raz wyrywał się z ich mózgów lub serc i ze skowytem rozdzierał powietrze.

Nikt nikomu nie robi nic złego.

Ostatnio najchętniej oddaję się wypożyczaniu z muzeów cennych obiektów i, podłączony do urządzeń zapewniających odpowiednie odżywianie i nawadnianie organizmu oraz pobudzanie nieużywanych partii mięśni, wpatruję się w nie całymi dniami i tygodniami. Bardzo sobie też cenię możliwość wychodzenia z nimi na spacery. Potrafię neogodzinami chodzić i wpatrywać się w świat przez ich pryzmat. Szczególnie przyjemne w tym wszystkim jest, że zazwyczaj robię to w towarzystwie konserwatorki sztuki, zobowiązanej dbać o bezpieczeństwo wypożyczonego obiektu. Jej czułe, uważne i dyskretne spojrzenia – raz na mnie, raz na obiekt – uzupełniają sesje i wywołują dreszcze niejednoznacznych emocji tak pożądanych w moim wieku.

Podczas kolejnych tego rodzaju spacerów wywiązuje się między nami specyficzna więź, rodzaj patafizycznej miłości – paradoksalnej, ostrożnej, zapośredniczonej przez wspólną miłość do dzieła. Dzieło, w zależności od swego charakteru i spektrum energetycznego, wyznacza barwę, temperaturę i charakter danej sesji. Z każdym obiektem patrzenie i nasze obcowanie ze sobą jest inne. Nie rozmawiamy. Patrzymy niezwykle intensywnie. Powiedziałbym, że wspieramy się i stymulujemy wzajemnie w patrzeniu. Pomagamy sobie i doskonale się rozumiemy. To jest miłość. Konserwatorka dzieli swoje spojrzenia mniej więcej po połowie między mnie a dany obiekt. Gdy jest on w moich rękach, sytuacja staje

się odrobinę asymetryczna i niezręczna. Dlatego chętniej stawiam je lub wieszam w pewnej odległości, by możliwie często konstruować harmonijny trójkąt spojrzeń. Ja, muszę przyznać, patrzę głównie na obiekt, który spokojnie, wyraziście i niemal bezczelnie patrzy jednocześnie we wszystkich kierunkach. Jak to możliwe – stanowi dla mnie wciąż fascynującą tajemnicę. Pomimo kilkudziesięciu lat studiów i zatrudnienia mnóstwa ekspertów z różnych dziedzin, zagadka tego potężnego, wielowymiarowego spojrzenia pozostaje nierozwiązana. Jedyne, czego udało mi się dowieść, to paradoksalna teza, iż intensywność i ekstensywność spojrzenia potrafią rosnąć równocześnie.

W chwilach przedłużającego się milczenia i narastającego napięcia połączonego z zakłopotaniem, pytam:

– Co?

– Nic – odpowiada zwykle po minimalnie zbyt długim ułamku sekundy. Ułamku sekundy wystarczającym, by to, co oczywiste, przestawało być oczywiste. Czuję się w jej towarzystwie bardzo bezpiecznie, niczym powierzone jej opiece dzieło sztuki.

Lubię tradycyjną cyberprostytucję. Mam mnóstwo sympatycznych wspomnień związanych z tą praktyką, gdyż moja młodsza siostra przez lata, tuż po rewolucji, parała się nią z wielkim oddaniem. Udany cyberstosunek to wchodzenie w pierwotną, pogłębioną relację z żywym obrazem. Relacja taka stanowi podwalinę naszej kultury – pełnej i wielowymiarowej, a jednocześnie schłodzonej, opartej na pewnego rodzaju dystansie, powściągliwości i potrzebie bezpieczeństwa. Od żywych, pięknych, dobrych i mądrych obrazów o otwartej kompozycji można się wiele nauczyć. Jest to wiedza milcząca i bezdyskusyjna, przenikająca adepta lub adeptkę od stóp do głów. Zbliża nas ona do nigdy dotąd nieosiągniętej przez ziemskie cywilizacje doskonałości, samowiedzy i nadwrażliwości uzupełnianej zawsze trafnie dobranymi podkładami muzycznymi.

Konserwacja zabytków od niedawna uznawana jest za jeden z działów medycyny. Zajmuje się nie tylko dbałością o kulturę materialną, nieożywioną, ale także ożywianiem i reprodukcją kultury żywej z różnych obszarów czasoprzestrzeni. Po wnikliwych badaniach transdyscyplinarnych zespołów dowiedziono niezbicie, że kultywowany w przeszłości podział na kulturę ożywioną i nieożywioną był arbitralny i całkowicie fałszywy. Ostatnio spore zamieszanie w środowisku spowodowały informacje o próbach manipulacji historią poprzez wprowadzanie postaci hybrydowych i klonów artystek i artystów z mniej wpływowych w przeszłości ośrodków kulturalnych różnych epok. Ziewać się chce, ale cóż. Te wieczne powroty, rewizje i powtórzenia będą już zawsze ważnym nurtem badań, chociaż według mnie to wszystko odrobinę trąci myszką. Z drugiej strony patrząc – historia jest i zawsze będzie formą otwartą, a ciągła praca oraz dialog tekstów, kontekstów i perspektyw związanych z wybranymi fragmentami czasoprzestrzeni czynią ją żywym obszarem spotkania i współobecności osób, zjawisk i miejsc. Jestem raczej za inkluzywnością i pojemnością różnych, czasem sprzecznych narracji i za wielokierunkowym dialogiem inspirowanym metodologiami z nauk ścisłych. Na szczęście zasoby pamięci mamy nieograniczone i dążymy powoli do tego, by wiedza i dane na temat wszechświata były wreszcie tożsame z nim samym.

Statyczne obrazy dostarczają mi największych rozkoszy – ruchome i żywe kocham, ale trochę się ich boję. Są też obiekty przestrzenne, ażurowe i tradycyjne rzeźby, które stawiam w różnych miejscach, niekiedy bardzo ryzykownych kompozycyjnie i patrzę, co się dzieje z nimi i z przestrzenią dookoła. A dzieją się bardzo różne rzeczy, całkowicie poza słowami. Rzeczy dają z siebie wszystko. Potrafią być tak subtelne i piękne, że moim zdaniem każda próba ich posiadania czy nazwania powinna skończyć się bezapelacyjnym zawstydzeniem, samobójstwem społecznym, całkowitym wycofaniem z życia bądź jakąś wyrafinowaną i nowoczesną formą unicestwienia osoby, która chciałaby tego spróbować. Wszystko można, wszystko mamy (no, może te nieszczęsne zasoby wody i powietrza rzucają pewien cień niepokoju) i starannie wypracowywany przez lata szacunek do nienazywalnego i do szeroko rozumianych obrazów jest nienaruszalnym

fundamentem naszej kultury, fundamentem zbudowanym na dystansie i wolności, równości i wielokierunkowych przepływach spojrzeń i energii. Algorytmicznie ustalane odległości między partnerami i częstotliwości dotyku wytwarzają zdrową, egalitarną relację, jakże inną od klasycznych przedrewolucyjnych fantazmatów miłości, opartych na klaustrofobicznym i dusznym modelu zamknięcia ukochanej istoty w klatce opresyjnych uczuć. Toksyczne fascynacje, fantazmaty, fanatyzm i faszyzm są najbardziej wstydliwymi chorobami przeszłości, z którymi na szczęście współczesna medycyna radzi sobie już niemal doskonale.

Zatem patrzę tam, gdzie patrzę, jednak od czasu do czasu zerkam na konserwatorkę i to jest jak nabieranie powietrza przez kogoś, kto bardzo długo nurkuje wśród barwnego świata raf koralowych. Jestem pewien, że byłbym w stanie policzyć i przypomnieć sobie wszystkie te spojrzenia – pojedyncze obrazy. Każde z nich jest osobną przygodą, osobnym epickim romansem eksplodującym w ułamku sekundy. Przyznam, że prowadzę specjalny folder z notatkami dotyczącymi tylko tych zerknięć. Zawiera on dokumentację każdego spotkania, zderzenia i splecenia naszych spojrzeń zaopatrzoną w odpowiednią infografikę wizualizującą statystyki. Spojrzenia spotykają, zderzają lub splatają się z różną siłą i w różnej odległości od nas w zależności od tego, które z nas w danym momencie spojrzy intensywniej lub ekstensywniej. Oba parametry bierzemy pod uwagę. Niektóre zderzenia są odrobinę bolesne, ale też niezwykle ekscytujące. W takich sytuacjach obydwoje reagujemy natychmiastowym cofnięciem wzroku. Powstrzymujemy drżenia w kącikach ust i cisnące się do głowy myśli, których chyba żadne z nas nie chce wypowiadać na głos. Nawet nie chodzi o nieśmiałość. Raczej o powściągliwość i rezygnację. O pogodzenie z kondycją naszą i świata, w jakim przyszło nam się spotkać, o delikatność i niechęć do naruszania tego kruchego stanu.

Potrzeby ekscesu, podróży w nieznane czy, co gorsza, oczekiwanie ich są już bardzo daleko za nami, a przynajmniej tak bym sobie życzył. Tylko od czasu od czasu wyłaniają się zza horyzontu historii, straszą niczym materiały promocyjne muzeów starych mediów i przypominają o ludzkości z czasów krwawych walk o wolność, równość, miłość, szczęście i wzajemne zrozumienie, które wreszcie zostały osiągnięte, a dzięki wrażliwości i uczciwości obywateli świata podtrzymywane są z odpowiedzialnością i czułością, z jaką ja podtrzymuję dzieło sztuki. Zostały osiągnięte bynajmniej nie na drodze walki. Droga walki, według badań naukowców, okazała się drogą samozagłady – chorobliwym fantazmatem, epidemią. Droga miłości to ścieżka, po której z wolna spacerujemy z moją ukochaną konserwatorką i obiektem – medium naszego kolejnego spotkania.

Fantazmat, inaczej „chory obraz", według współczesnej wiedzy jest chorobą wywoływaną przez wirus lokujący się w potylicznych i skroniowych płatach kory mózgowej. Powoduje koszmary senne, zaburzenia lękowe i melancholię, często powiązane z zaniżonym poczuciem własnej wartości. Nie znam się na tym. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy planety, całkowicie ufam lekarzom, którzy w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat dokonali tak spektakularnych odkryć, że głupotą byłoby cofanie tego zaufania wobec dosłownie kilku przypadków nieporozumień lub paru niejasności. W końcu to medycynie molekularnej i przemysłowi chemicznemu zawdzięczamy nieśmiertelność muzealnych obiektów, wszelkich danych, w tym naszych kodów genetycznych oraz – coraz bardziej – nas samych. Sam pozwoliłem zaszczepić się na fantazmaty już dosyć dawno i bardzo to sobie chwalę. Poleciłem też zaszczepić swoje dzieci, kiedy były jeszcze bardzo małe. Nie ma co się dręczyć i ryzykować – życie, chociaż coraz dłuższe, jest ciągle tylko jedno.

Tak naprawdę dopiero od niedawna mamy powszechnie panujące i niezachwiane w społeczeństwie i wśród tak zwanych władz przekonanie, że nie musimy się już niczego wstydzić, zarówno wobec siebie, jak i wobec obcych cywilizacji.

Na tej zmęczonej planecie jest wreszcie dobrze, a nawet bardzo dobrze, a nasze szczęście stanowi jednocześnie o szczęściu tych, którzy i które są obok nas i w nas, oraz tych wszystkich, którzy i które przyjdą po nas albo przybywają tu tylko na chwilę z odległych miejsc. Nasza wspólnota jest całkowicie wolna, równa i pełna akceptacji, przyjaźni i miłości wobec swoich członków i wobec obcych. Renderujemy wszystko, co chcemy. Pełnej inkluzywności nie towarzyszy nawet cień dialektycznej antytezy, która przez setki lat spędzała sen z powiek aktywistów, aktywistek, filozofów i filozofek o każdym kolorze i odcieniu skóry, niezależnie od sprzętu i oprogramowania, jakimi się posługiwali czy posługiwały. Wielkość i siłę oddziaływania osobowości mierzymy precyzyjnie przy pomocy odpowiednich urządzeń. Czynimy to regularnie. Wyniki są automatycznie przesyłane do odpowiednich urzędów i wszystko staje się jasne. Jesteśmy ufni i uważni. W naszych przestrzeniach życiowych jest coraz mniej zapachów, mikrotonów i intencji, dzięki czemu robi się coraz więcej miejsca dla prawdy.

Bez wątpienia moje konsekwentnie przez dziesiątki lat prowadzone prace badawcze, publikacje, rozmyślania i praktyki wpatrywania się z różnej perspektywy w ludzi, nie-ludzi oraz w obiekty – oświetlane pod różnym kątem i ustawiane w miejscach czasem bardziej do tego odpowiednich, czasem mniej, a czasem całkowicie nieodpowiednich – stanowią ważny wkład w wachlarz współczesnych metodologii neutralnej współobecności. Wracając do ażurowych obiektów przestrzennych i rzeźb – kocham je chyba najbardziej, o ile w ogóle da się porównać jedną miłość do drugiej. Może się nie da, może nie należy tego robić i kochać możliwie dużo i w możliwie różnorodny sposób. No więc kocham je miłością nowoczesną, wielowymiarową, bezdyskusyjną i bezinteresowną, jak mnie nauczono podczas kursów reedukacyjnych. A one pozwalają się w zamian oglądać godzinami z różnych stron, nie męczą siebie i mnie, nie mówią „nie” i powoli odsłaniają swoje skomplikowane tajemnice. Są cierpliwe, ale nie cierpią. Są czułe, kruche i wrażliwe na najmniejsze zmiany warunków ekspozycji w takim samym stopniu jak ja, a niektóre może nawet bardziej. Ich trwanie w cichym i wielowymiarowym życiu pozostaje dla mnie od dawna wzorem do naśladowania.

Od trzech neogodzin skroluję archiwa z przełomu dwudziestego pierwszego i dwudziestego drugiego wieku przed rewolucją. Postanowiłem przyjrzeć się bliżej wybranemu fragmentowi czasoprzestrzeni oraz zawartym tam relacjom między inkluzywnością danego środowiska ekstensywnością oddziaływań energii odśrodkowych. Zainspirowała mnie do tego bardzo wnikliwa i pięknie skonstruowana audiowizualna narracja o globalnej katastrofie wojennej, która mogła być naszym wspólnym udziałem. Bogato ilustrowana ruchomymi i nieruchomymi obrazami, przepełniona *hashtagami* i odniesieniami do materiałów źródłowych praca porusza i przeraża jednocześnie. Nawet pobieżnie przeglądane papierowe gazety z tamtych czasów, składające się w większości z barwnych reklam niemal niejadalnych śmieci pochłanianych przez tłumy czytelników, wyraźnie unaoczniają drogę postępujących antagonizmów, alienacji, rozgoryczenia i strachu, którą kroczyły tamtejsze społeczeństwa, stymulowane do negatywnych emocji przez tak zwane media masowe, polityków i stale drążących podziemne korytarze agentów służb specjalnych.

Był taki moment w historii ludzkości, kiedy nikt nie wiedział, skąd się bierze jedzenie. Było go pod dostatkiem, ale nikt nie wiedział i nie pytał, skąd się bierze. Panowała zmowa milczenia i lęk. W odległe miejsca przywoziły je specjalnie oznakowane pociągi, statki, samochody, samoloty lub śmigłowce transportowe. Umowa społeczna była prosta – nie pytasz i dostajesz, co chcesz następnego dnia. Ja też nie pytałem. Nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, żeby zapytać. Mój syn kiedyś zapytał mnie, co bym poczuł i co pomyślałbym o nim, gdyby on zapytał. Oczywiście odpowiedziałem mu, by robił, co chce, wybór i odpowiedzialność należą do niego. Na szczęście nie zapytał. To były trudne czasy, chyba trudniejsze niż rewolucja. Później wszystko stawało się coraz jaśniejsze i coraz bardziej przezroczyste. Niezależnie od okoliczności i warunków, w jakich żyjemy, zawsze jesteśmy w ich wnętrzu i nasze wybory są nimi ograniczone. Czasem może się wydawać, że gdzieś poza naszym światem istnieje jakaś przestrzeń innej, lepszej wolności, ale wszyscy, którzy tam byli, wspominają jedynie serie rozczarowań i beznadziejną konfrontację z iluzją. Przynajmniej w mojej mediatece

brak najmniejszego dowodu na to, by kiedykolwiek i gdziekolwiek było czy mogło być lepiej, niż jest nam tutaj teraz. Wszędzie i zawsze było mniej więcej tak samo źle, a czasem okropnie.

Inkluzywność kategorii „my” przyprawia mnie o niezwykle przyjemny zawrót głowy. Jej performatywna moc krąży i wiruje w przestrzeniach społecznych jak kosmiczny pył, przenikając płuca i serca potencjalnych partnerów i partnerek wszelkich płci, ras, gatunków, wieków i ich hybryd, rodząc zaufanie i miłość. Rodząc zaufanie i miłość, rodząc zaufanie i miłość, rodząc zaufanie i miłość. Z jedną z mych przyjaciółek i jej partnerem dokonaliśmy swego czasu bardzo osobliwego eksperymentu. Wspólne psychofizjologiczne i erotyczne doznania i uniesienia doprowadziły nas do pomysłu połączenia się krwiobiegami w jeden tętniący wspólnym życiem trójsercowy organizm – biologiczny akord. Odczucia i dźwięki przerosły wszelkie oczekiwania. Trwaliśmy w tym kilka sezonów, nagraliśmy mnóstwo materiału, dopóki nam się to zwyczajnie nie znudziło. Warto zmieniać, poszukiwać, nie należy trwać zbyt uparcie przy swoim. Czasem wystarczy zmienić optykę. Prawda jest i tak poza intencjami. Do dziś z rozrzewnieniem dzielimy się wspomnieniami, odsłuchujemy wielokanałowe nagrania i trwonimy tantiemy.

Cała futurologia skupiona jest na wypracowywaniu coraz bardziej precyzyjnych i dynamicznych narzędzi do rozpoznawania potencjalnych niewiadomych i natychmiastowego ich eliminowania. Konserwatywni komentatorzy żartują sobie z tego i nazywają to holokaustem tajemnicy. Bardzo lubię rozmawiać z konserwatywnymi komentatorami, bo bardzo często z nałożenia historycznych klisz i sposobów myślenia, zupełnie nieadekwatnych wobec współczesnej rzeczywistości, powstają zaskakujące, dające wiele do myślenia hybrydy. Niewiedza, głupota i wiatr pozostają wciąż tymi ponadczasowymi obszarami, w których niespodzianki pojawiają się najczęściej.

ełne ufności spojrzenia turystów [...].

Iluzje optyczne i oszukujące percepcję ruchome obrazy całkowicie straciły zastosowanie wraz z upadkiem kultury opartej na robieniu się wzajemnie w chuja, oszukiwaniu, egoizmie, walkach, zazdrości, wyzysku, spekulacji, spektaklu, technikach uwodzenia i okradania. Przemysł filmowy, czyli to, co dziś nazywamy animacją poklatkową, wnikliwi interpretatorzy kojarzą z prowadzoną w tamtym czasie przemysłową, klatkową produkcją zwierząt na rzeź. Praktyki te doskonale ilustrują barbarzyństwo i zezwierzęcenie tamtej epoki. Kino cynicznie wykorzystywało modele technologiczne rodem z przemysłów specjalizujących się w masowym zabijaniu. Reprodukowało jednocześnie najbardziej agresywne wzorce zachowań. Śmierć na planach filmowych zbierała niewyobrażalne żniwo. Obrazy nierówności – film, przemysł spożywczy, choroby psychiczne i obozy koncentracyjne – na zawsze pozostaną dowodami na powszechne zgłupienie i spodlenie populacji ludzkiej w dwudziestym i dwudziestym pierwszym wieku przed rewolucją – epoce wspominanej dziś z największym wstydem. Dzieci, którym pokazuje się dwudziestowieczne kino, wpadają w osłupienie przerywane wybuchami nieskrępowanego śmiechu. To ich reakcja na idiotycznie uproszczone treści, tak zwane efekty specjalne, parareligijną ekranowość, naiwne oderwanie od rzeczywistości i prostackie manipulacje stosowane wówczas na zniewolonych konsumentach rozrywki, utrzymywanych w stanie paraliżu ciał i umysłów przy pomocy wywołujących epilepsje seansów i trującego jedzenia. Jedynie mecze piłki nożnej – jako epickie narracje wizualne o przyjaźni i współpracy, miłości i zaangażowaniu – przetrwały próbę czasu. Sam ze wzruszeniem oglądam archiwalne dokumenty, generuję wielkoformatowe wydruki uśmiechniętych twarzy piłkarzy, ze wzruszeniem analizuję mecze i poszczególne zagrania oraz studiuję statystyki spotkań, które przeszły do historii miłości.

Utrzymujące podziały i konkurujące ze sobą systemy wspierania rodzin i związków partnerskich zostały przekształcone w jeden wertykalno-horyzontalny aparat umacniania szeroko pojmowanych relacji wielopokoleniowych i partnerskich. Kolektywy, stada, rodziny wielodzietne, patchworkowe, rozbite, samotne matki lub ojcowie, związki samopomocowe sierot, związki partnerskie mono- i poliamoryczne, jedno- i wielopłciowe uzyskały adekwatne wsparcie, umożliwiające rozwój poszczególnych jednostek oraz pogłębienie solidarności i więzi w społecznościach o różnym charakterze i źródłowych ideologiach. Szeroki zakres wsparcia obejmuje nawet najmroczniejsze zakamarki rezerwatów.

Tak, pod koniec antropocenu, kiedy wydawało się, że cywilizacja ziemska zmierza ku spektakularnej katastrofie, nastąpiły nieoczekiwane zdarzenia, w wyniku których świat całkowicie i radykalnie zmienił swoje oblicze. Cywilizacja kłamstwa, jak teraz nazywamy czasy przedrewolucyjne, zawaliła się pod ciężarem skumulowanych przez siebie dóbr, nadprodukcji śmieci, nierówności i wywołanych przez nie fal oburzenia przeróżnych grup społecznych – ciemnej materii podludzi karmionych toksycznymi, rakotwórczymi, najtańszymi fantazmatami i drenowanych dwadzieścia cztery godziny na analogową dobę z sił, marzeń, czasu, energii i aspiracji. Podludzi, niemal botów, hodowanych masowo, strzyżonych według centralnie opracowywanych wzorów na targach fryzjerskich, a jednocześnie tak różnych jak asortyment produktów spożywczych w niewyobrażalnie wielkich magazynach, do których trzeba było chodzić, żeby za tak zwane pieniądze dostać odrobinę zatrutego jedzenia. Podludzi utrzymywano w przeświadczeniu, że coś każdego i każdą z nich wyróżnia. Dzięki temu przez dziesiątki, a nawet setki lat połączone siły kapitału, polityki edukacyjnej i precyzyjnie rozmieszczonych na całym świecie kościołów, kin i festiwali muzycznych o zróżnicowanej ofercie fantazmatycznych obietnic trzymały ich w zantagonizowanej, zdezintegrowanej ciemnej masie. Szczególnie hałaśliwe festiwale, wraz z aplikacjami społecznościowymi i słodyczami o ogromnej, śmiercionośnej zawartości cukru przeżywały lawinowy wzrost popularności tuż przed rewolucją.

Kapitalizm, o czym na pewno pamiętają najstarsze uczestniczki życia społecznego, opierał się na wyzysku pracownic fizycznych, rabunkowej eksploatacji dóbr naturalnych i postępującym skupianiu środków produkcji i kapitału w rękach małej grupy zarządzającej procesami produkcji i dystrybucji towarów i usług. Wirtualizacja kapitału i coraz bardziej wyrachowane instrumenty finansowe usprawniały proces drenażu społeczeństwa z własności, a galopujące podziały narastały z miesiąca na miesiąc. Sztuka w tych warunkach rozwijała się znakomicie. Z ogromnym rozmachem projektowano coraz nowocześniejsze muzea, sale koncertowe i teatry, dla których najzdolniejsi, najpiękniejsi i najlepiej ubrani artyści płci męskiej tworzyli monumentalne i wyrafinowane formalnie dzieła, w produkcji których uczestniczyły masy mniej zdolnych, mniej pewnych siebie, brzydszych i jeszcze bardziej skorumpowanych menadżerów kultury. Po likwidacji parytetu dolara wobec złota, a następnie po ustanowieniu całkowicie wirtualnej waluty o nazwie euro, globalna katastrofa finansowa – a co za tym idzie rewolucja – wisiały na włosku*, jak wtedy mawiano. Kryzys wiązał się z rozpoznaniem, iż cały system relacji walutowych, a w szczególności euro, jest sprytnie skonstruowanym przez ponadnarodowe instytucje finansowe narzędziem, służącym do ubezwłasnowolniania słabszych gospodarek na rzecz lokalnych i ponadlokalnych hegemonów. Nagła zapaść w całym pasie Europy Środkowej i Ameryki Północnej, spowodowana spekulacyjnymi atakami arabskich szejków na lokalne waluty i kluby sportowe, skupiła uwagę opinii publicznej, która – mimo że nie była wtedy znaczącym uczestnikiem życia społeczno-politycznego – stanowiła spetryfikowane zaplecze późniejszych przemian. Sporo wartościowych i krytycznych analiz udało się jakby mimochodem przemycić do oficjalnego obiegu informacji, który, co trudno sobie z dzisiejszej perspektywy wyobrazić,

*

WŁOSY (inaczej: owłosienie; l. poj. – włos) – nitkowate, zrogowaciałe, wyspecjalizowane twory naskórka, występujące wyłącznie u ssaków (na powierzchni skóry), zbudowane z twardej, spoistej keratyny. U homo sapiens, przed stosowaną obecnie na niemowlakach terapią radialną występowały wyspowo na głowie, pod pachami, w okolicach genitaliów i w innych miejscach, zazwyczaj symetrycznie. Terapia, będąca przede wszystkim profilaktyką nowotworową, oraz dieta bezcholesterolowa, powodująca obniżenie produkcji androgenów u osobników obu płci, spowodowały niemal całkowite wyeliminowanie owłosienia u ludzi wszelkich ras, płci, odmian i modyfikacji genetycznych oraz u innych naczelnych uczestniczących w życiu społecznym. Brak owłosienia wiąże się nie tylko z nową estetyką i prestiżem społecznym, ale także z etosem czystości i długowieczności.

był całkowicie niewiarygodny i skorumpowany przez monokulturę asymetrii, wyzysku i kłamstwa. Tak, światem rządzili ludzie, którzy uważali, że by mieć więcej, trzeba zabrać innym. Skorumpowana lub zastraszona większość siedziała cicho ponad trzysta lat, a media analogowe, elektroniczne i telepatyczne lizały odbyty kolejnym pokoleniom przywódców i zarządców skoncentrowanych kapitałów. Cała planeta i wszystkie organizmy cierpiały z powodu zanieczyszczenia wody, ziemi i powietrza. Dziś ten haniebny etap nazywamy cywilizacją kłamstwa albo kulturą spektaklu. Był to zmierzch długiej epoki antropocenu. Kiedy już wydawało się, że wszystko zmierza ku spektakularnej katastrofie, nastąpiły nieoczekiwane zmiany, dzięki którym świat całkowicie przeobraził swe oblicze.

Wszystko zaczęło się od psa i chleba. Pies jednej z moich kochanek zmarł na raka. Ogromna strata, rozpacz. Utraciła przyjaciela, kochanka, zwierzę i powiernika metalingwistycznych sekretów. Bardzo to przeżyła. Zajmowała się w tamtym czasie biochemią, rozumianą bardzo tradycyjnie. Po próbach ratowania przyjaciela, po desperackich wysiłkach zmierzających do sklonowania czworonoga, po chwilach bezradności i bólu postanowiła bliżej przyjrzeć się przyczynom nowotworu i przebiegowi choroby. Odkrycia, których dokonała, niespodziewanie uruchomiły masowy ruch społeczny i lawinę protestów. Jej pies uwielbiał biały chleb. Wielu z nas, wiedząc co nieco o technologii produkcji tej trucizny, już dawno przestało jeść chleb. Inni umierali w niewiedzy. Lobby piekarsko-chemiczne trwało bardzo długo u władzy, unikając obowiązku ujawniania receptur chleba, bułek i innych wypieków, korumpując środowiska ustawodawcze przy pomocy drogich prezentów i suplementując specyfikami wzmacniającymi wydolność mózgów przedstawicieli krytycznych zawodów, pracujących na jego rzecz. Popękany i nieopakowany chleb wzbudzał od setek lat zaufanie jako produkt ręcznie robiony, naturalny, domowy. Nic bardziej mylnego – ruchome obrazy nielegalnych fabryk pieczywa obiegły wirtualny świat, mnożąc się memetycznie. Dowiedzieliśmy się z nich o warunkach pracy w przedsiębiorstwach zatrudniających nielegalnych imigrantów i osoby chore psychicznie, biciem zmuszanych do ciężkiej, wielogodzinnej pracy w gumowych, nieoddychających kombinezonach

chroniących przed bezpośrednim kontaktem z toksycznym i silnie żrącym ciastem. Ludzie wrażliwi z oburzeniem w oczach wyszli na ulice, zasłaniając usta maskami przeciwpyłowymi, by chronić się przed chemicznymi kontratakami wojska, policji i kontrmanifestacji piekarzy i ich sprzymierzeńców. Rękami zasłaniali oczy przed fleszami fotoreporterów. Blogerzy, webdizajnerzy i informatycy wsparli ich, umieszczając na portalach społecznościowych wyrafinowane i niezwykle trafne, mnożące się jak wirusy memy audiowizualne oraz odnośniki do szczegółowych informacji na temat powodów oburzenia, celów i postulatów protestujących. Uwolnili także hańbiące archiwa globalnych potentatów mączno-chemicznych. W ten sposób analitycy wraz z informatykami, webmasterzy, administratorzy sieci, danych i bezpieczeństwa informacji oraz specjaliści od infografik i inżynierowie systemów cybernetycznych razem z cyberprostytutkami zapoczątkowali falę radykalnych zmian. Tak, zwłaszcza cyberprostytutki! Wciągnęły one do walki o lepszy, bardziej sprawiedliwy i otwarty świat setki tysięcy swych zgnuśniałych klientów. Jako siedzący na czatach anonimowy tłum nicków wykonywali oni ogromną robotę propagandową i informacyjną. Pracując w chmurach, przetwarzali przechwycone z korporacyjnych serwerów dane i kodowali rewolucyjne treści. Uwolnione informacje pozwoliły zweryfikować obraz całej wirtualnej, fizycznej i metafizycznej rzeczywistości i wyciągnąć daleko idące wnioski na przyszłość. Stało się kwestią czasu i współpracy przeprojektowanie oraz przebudowanie architektury zarządzającej produkcją i przepływem dóbr, kapitałów, energii i informacji zgodnie z modelami opartymi na uczestnictwie, transparentności i otwartości źródeł. Tak, współpracą zastąpiono idiomy rywalizacji i walki. Stawiając na współpracę i empatię, wyłoniliśmy nową, inkluzywną wspólnotę – jeden z filarów naszej wspaniałej cywilizacji. Do informatyków i cyberprostytutek bardzo szybko przyłączyli się producenci muzyczni, pracownicy techniczni studiów filmowych i wielkich festiwali – potężnych fabryk przyjemności, których paliwem były hordy źle wykształconych, kolorowych i roześmianych gówniarzy, ogłupionych hałasem o bardzo precyzyjnie dozowanych decybelach i częstotliwościach. Ślady tej epoki do dziś pozostają w naszym kodzie genetycznym, a fale dźwiękowe wciąż unoszą się w najwyższych warstwach stratosfery.

Kolejną grupą, która dołączyła do działań wywrotowych, byli zawodowi sportowcy. Ich heroizm poruszał serca mas. Za zadanie mieli porwać tłumy. W charakterystyczny dla siebie sposób zaczęli wymiotować w miejscach publicznych, płakać, przyznawać się do słabości i stosowania nielegalnych suplementów, wyznaczając tym samym miejsca przesileń na scenie rewolucyjnych zmian. Redaktorzy gazet gubili się w chaosie i kolażu doniesień z partycypacyjnego teatru wydarzeń. Tłumy kibiców mieszały się z tłumami uchodźców i imigrantów. Po otwarciu granic globalny *exodus* trwał kilkanaście miesięcy, aż z czasem ustał, wyrównując i stabilizując popyt i podaż na zróżnicowane zawody, pasje, hobby i kolor oczu w różnych regionach świata.

Informatycy – niemal niewolnicy, obok konwerterów najbardziej upodlona grupa zawodowa w tamtym czasie – wraz z bardzo silną w ich łonie frakcją nerdów i trolli spostrzegli, że można wyjść z niewoli, przechwycić środki produkcji i narzędzia zarządzania systemami, a tym samym – przejąć władzę absolutną. Wywołało to obawy ze strony innych zaangażowanych grup. Kręgi opiniotwórcze zaczęły obawiać się, że objęcie rządów przez informatyków może grozić jeszcze większym rozwarstwieniem społecznym niż dotychczasowe oraz specyficznym technokratycznym reżimem, opartym na resentymencie, ufności w siłę technologii i reglamentacji kodeków. Spowodowało to ogromne zawirowanie w szeregach rewolucjonistów. Wówczas na scenę polityczną brawurowo wkroczyli starcy. Masowe samobójstwa, akty przemocy i samookaleczenia wstrząsnęły opinią publiczną. Strach przed śmiercią i starością był jedną z podstaw kultury kłamstwa. Wyparte realne ze straszliwym skowytem upomniało się o swoje prawa i obecność w przestrzeni publicznej. Ulice usłane były trupami ludzi, którzy rzucali się z okien czynszowych kamienic wprost na karki zagranicznych turystów. Mniej radykalni bojownicy i bojowniczki manifestowali swoje niezadowolenie i rozpacz, oddając mocz i kał przez okna mieszkań, w których żyli od lat, zalegając z opłatami za czynsz i media i z kieszonkowym dla swych wnuków czy wnuczek. Powystawiane przez okna pomarszczone dupy starców wzbudzały blady strach przechodniów i jednoczesne zrozumienie tłumów siedzących przed tak zwanymi

telewizorami. Telewidzowie wraz z walczącymi starcami tworzyli grupę osób najbardziej wykluczonych – nie tylko z systemu przedrewolucyjnego, ale też z samej rewolucji – wykluczonych z powodów estetycznych i ekonomicznych; grupę, do której nikt nic od dawna nie kierował i nic od niej nie chciał, jakby samo ignorowanie starców i telewidzów mogło spowodować ich szybsze zniknięcie z powierzchni ziemi. Były to w większości osoby myślące bardzo tradycyjnie, przywiązane do niemal średniowiecznych relacji i sposobów zachowania. Ich rewolta miała wymiar poniekąd groteskowy. W sumie – nie ma co ukrywać – przyspieszyła ich wyginięcie. Wraz z nimi wyginęły ich atrybuty – religia, rodzina, bicie i karmienie chlebem osobników z młodszych pokoleń, wychowywanie przez pracę, strzelanie do zwierząt oraz inne obrzydliwe archaizmy. Cóż, najstarsza populacja była dzieckiem rewolucji, które ta musiała pożreć, by mogła się powieść. Ich rozpacz ożywiła na nowo ruch osób walczących z chlebem. Historia i wspierające aktywistów agencje ds. relacji międzyludzkich nazwały ten etap Ofensywą Miłości. Na czele ruchu zawiązał się międzykulturowy, transdyscyplinarny komitet wyjątkowo mądrych, wrażliwych i odpowiedzialnych osób, które wyłoniły się z cienia. Filozofowie, muzycy ambientowi, młode kompozytorki, teoretycy i teoretyczki życia społecznego, koneserzy i koneserki rozkoszy, niezależne ekonomistki, dietetycy i dietetyczki, artyści ciszy i pustki, eksperymentujący pedagodzy i pedagożki, instruktorki jogi, seksuolodzy i terapeutki, weterynarze i weterynarki, leśnicy, goprowcy, kolejne rzesze cyberprostytutek i prostytutek analogowych, masażystek i masażystów, stomatolodzy, stomatolożki i fizjoterapeutki, barmani, restauratorzy *slow food*, szewcy, architekci ogrodów plus inne wymierające lub nie zawody. Jednym słowem, dobrzy ludzie całego świata, którzy do tej pory wykonywali swoje poszczególne codzienne zajęcia z miłością, pietyzmem, radością i bezdyskusyjnym zaangażowaniem, ludzie, którzy nigdy nikogo niczym nie epatowali i którzy cieszyli się okruchami szczęścia, nie oczekując czegoś więcej. Ich wartości stały się wartościami nowej kultury. Moim do dziś nie do końca wyrażonym szczęściem było móc przeżyć, naprawdę intensywnie przeżyć rewolucję i czynnie uczestniczyć w tych pięknych i dramatycznych procesach, które zapoczątkowały lawinowe przemiany i nowy światowy porządek. Tak, można rzec, że wszystko zaczęło się od biednego, chorego na raka psa i od chleba, który do dziś pozostaje symbolem zła.

Zbyt często lewicowi aktywiści, przepełnieni nostalgią za utraconymi elementami postindustrialnego krajobrazu, modernistyczną architekturą i udogodnieniami państwa opiekuńczego, skazywali samych siebie na rolę konserwatywnych malkontentów. Próby wewnątrzśrodowiskowych dyskusji na ten temat wywoływały akty agresji słownej lub przemocy symbolicznej, zwykle przepełnione resentymentem. To, czego nie zrobił przeciwnik polityczny, zrobiły z czasem bliskie sercu każdej lewaczki bratnie i siostrzane organizacje o minimalnie innym odcieniu czerwieni, zieleni lub różu w logo i o kosmetycznych różnicach programowych. Postępujący podział, podobnie jak podział poszczególnych państw Europy na coraz mniejsze i coraz bardziej narodowe i skłócone ze sobą kraje, był procesem nieodwracalnym. Od pewnego momentu całkowitą globalną katastrofę powstrzymać mogła jedynie inna katastrofa, której wynikiem byłoby wyłonienie się nowego, bardziej sprawiedliwego porządku społecznego.

Oczywiście, cukier już dawno został zakazany. Wziąłem nawet udział w referendum, bez mrugnięcia okiem dotykając ikony całkowitego zakazu. W ogóle od pewnego czasu coraz bardziej lubię zakazy. Pozwalają spokojniej żyć. Historia zakazów pokazuje jasno, że w czasach biowładzy absolutnej zakaz, interpretowany jako ograniczenie, wzbudzał oczywiście kontrowersje i sprzeciwy. Dziś jest pewnego rodzaju przygodą retoryczną, pozwalającą wyznaczać w przestrzeni nieograniczonej wolności tak zwane przełęcze dyskursywne – przesiadkowe węzły komunikacyjne, dzięki którym zawieszone w nierozstrzygalnej otwartości paradygmaty dialektyczne na chwilę epistemologicznie zderzają się ze sobą, generując bardzo ciekawe estetycznie i etycznie wyładowania energii, potencjały chętnie używane ostatnimi czasy przez najbardziej poszukujących badaczy fizyki i metafizyki oraz reżyserów żywych obrazów. Odpowiedzialność za czyny nieodpowiedzialne i szkodliwe w całości przekazaliśmy prawu i instytucjom, co jest niezwykle wygodną i wyzwalającą sytuacją. Cały balast walki, nieufności i szarpania się z własnymi i cudzymi opiniami pozostał daleko za horyzontem przeszłości. Życie stało się nie tyle łatwiejsze lub przyjemniejsze, co bogatsze i pełniejsze dzięki spokojnej zadumie nad sprawami najważniejszymi i zawieszeniu sądów.

To zaś powoduje, że nawet najgłupsze, niefrasobliwe zabawy i przyjemności stają się często niebanalne.

Prawo opierające się na trzech filarach – afirmacji, empatii i zaufaniu – jest stabilną i dynamiczną przestrzenią spotkania etyki, ontologii i epistemologii, nie zaś, jak dawniej, narzędziem nadzoru i egzekucji. Oczywiście, karane jest oszustwo, kłamstwo, zazdrość, egoizm i złe spojrzenie, ale karanie następuje w ramach wieloetapowego procesu negocjacji i mediacji, opartych zazwyczaj na dobrowolnym uczestnictwie stron. To, co dzisiaj nazywamy karaniem, jeszcze sto, dwieście lat temu nazywano edukacją lub leczeniem. Są to bardzo delikatne i złożone kwestie, o których nie chciałbym pisać zbyt dużo, ponieważ bynajmniej nie jestem ekspertem w tych sprawach, a wygłaszanie opinii jest w naszej kulturze czymś co najmniej niesmacznym. Dyskutować znaczy, przede wszystkim, słuchać. Ostrza sarkazmu, który przez wieki był jedyną bronią zniewolonych i sfrustrowanych wolnomyślicieli, stępił czas mądrego milczenia. Język stanowił ongiś przestrzeń iluzorycznej wolności. Dziś, prawnie chroniony, ma znamiona szlachetnej materii, którą obdarowujemy się z czułością i wyczuciem. Wysublimowaną i pełną powściągliwości kulturę dyskusji osobiście uważam za jedno z najwspanialszych osiągnięć tej cywilizacji i może jeden z ostatnich powodów mojej wciąż podtrzymywanej chęci życia tu i teraz.

Oczywiście, wszystko, co zakazane, jest i tak dostępne na określonych warunkach. Gwarantuje nam to nie tylko globalna konstytucja, ale też wiele międzygalaktycznych porozumień i nikt z nas chyba nie wyobraża sobie, że mogłoby być inaczej. Wszystko można dostać w tak zwanych czarnych dziurach. Istnieje ściśle sformalizowany sposób korzystania z tych czasoprzestrzeni, dzięki czemu można mieć wgląd w poszczególne sytuacje i interweniować w krytycznych momentach. Stanowi to bardzo dobre rozwiązanie, za którym też głosowałem. Ostatnio pobieranie adresu trwało tak długo, że zasnąłem, ale zwykle cała

operacja przebiega bez zakłóceń. Można tam dostać i zrobić wszystko, dosłownie wszystko, a jednocześnie jest to całkowicie bezpieczne, nawet jeśli mowa o sprawach absolutnie niebezpiecznych. Czarne dziury jako ekskluzywne przestrzenie całkowitej nielegalności funkcjonują podobnie jak rezerwaty przyrody, obszary dzikiej, nieokiełznanej natury czy rezerwaty sensualnych rozrywek, które są nie tylko miejscem weekendowych wypraw ekstremalnych podróżników, ale też miejscem emigracji osób, którym nie udało się wyleczyć z różnych rzadkich odmian fantazmatów.

Lato na większości obszarów lądowych globu panuje niemal cały rok. Niestety, pewnych zmian klimatycznych nie udało się, póki co, odwrócić. Wszystkie słońca pracują za nas nieustannie z niebywałą mocą i człowiek potrzebuje się od czasu do czasu wyżyć. Prostata, szyszynka, płuca i inne organy mają swoje oczekiwania, które, zgodnie z zaleceniami ekonomistów i biochemików, należy spełniać dla zdrowia i równowagi psychofizycznej żywego organizmu, a także dla równowagi energetycznej wszechświata. I naprawdę nie róbmy sobie nic z faktu, iż na wszystkich portretach jesteśmy potem nieostrzy.

Niektóre aktywności są jednak odrobinę pretensjonalne. Przykładem niech będą regularne wycieczki archaicznymi pojazdami na paliwa kopalne, w każdą sobotę organizowane przez lokalne Muzeum Inżynierii i Inwencji Technologicznej [...]. Najbardziej cierpią rośliny [...]. Pogłowie dzikich zwierząt w przestrzeniach miast wzrosło w ostatnich latach lawinowo, o czym donoszą specjaliści i specjalistki. Oczywiście wszystkie osobniki są starannie szczepione przeciwko wszelkim schorzeniom fizycznym i psychicznym pochodzenia wirusowego.

Tak, wywalczyliśmy równość kursów walut, równość wszystkich obywateli i obywatelek wobec prawa, równość rasową, płciową i gatunkową, pełną redystrybucję dóbr w sieciowo zorientowanym systemie oraz wolność, która nie jest oderwanym paradygmatem ucieczki bądź kompulsywnym uwalnianiem się od zewnętrznych czy wewnętrznych ograniczeń, lecz ekstraktem życia społecznego, świeżym górskim powietrzem, którym oddychamy, które po wyeliminowaniu śmierci i toksyn w naturalny sposób wypełnia nasze ciała i przestrzenie między nami. Tak, we wszystkich dziedzinach życia społeczno-politycznego osiągnęliśmy pełen parytet i równowagę. Redystrybucja dóbr odbywa się bez zakłóceń na całej planecie. Nie ma żadnych sił zewnętrznych, które utrudniałyby nam osiąganie spokoju wewnętrznego i pełnej satysfakcji z życia. Szczęście, podobnie jak oczyszczana i mineralizowana molekularnie woda, jest powszechne. Władza sądzenia uległa niemal całkowitemu zawieszeniu, miłość wylewa się z serc i spojrzeń uśmiechniętych spacerowiczów, a ufny wzrok turystów napotyka życzliwą obojętność, która zawsze jest dobra na wszystko.

Cóż wobec tego robić z powracającymi falami nienawiści, resentymentu i agresji, które podczas tak długiego życia muszą przecież gromadzić się, powracać i zżerać od środka szczególnie te najbardziej wrażliwe organizmy? Ludzie o tak szerokich horyzontach jak ja radzą sobie z tym sami lub z pomocą najbliższych. Innym pomagają wyspecjalizowane organizacje, pod parasolem których można, jak to kiedyś mówiono, wyżyć się za wszystkie czasy, wypłakać i porozmawiać dosłownie o wszystkim. Podczas obozów dekoncentracyjnych dzieją się rzeczy przekraczające wyobraźnię wszystkich reżyserów życia codziennego razem wziętych. Krew, pot, śluz i sperma mieszają się ze sobą niemal w równych proporcjach, na co zwrócili niedawno uwagę australijscy analitycy. Byłem kiedyś na takim obozie, gdzie z ogromną ciekawością i zapałem uczestniczyłem w zajęciach, śledząc poczynania uczestników i uczestniczek turnusu. Współpracowałem też jako konsultant z jedną z tych jakże pomocnych organizacji. Można sobie wybrać ścieżkę indywidualną lub grupową. Można zapolować na organizm żywy dowolnego gatunku. Są to, rzecz jasna, specjalnie hodowane

formy *in vitro* lub klony modyfikowane genetycznie. Można posiadać niewolników i niewolnice i odtwarzać wszelkie najbardziej perwersyjne i okrutne relacje władzy. Jeśli komuś brakuje pomysłów, konsultanci na bieżąco podsuwają inspiracje wraz z adekwatną literaturą i ikonografią. Szczególnie dużym powodzeniem cieszą się techniki analne, prawdopodobnie jako ponadczasowa metafora posiadania, niezależna od relacji płciowych i gatunkowych. W końcu w historii antropocenu każda relacja była relacją władzy. W każdej relacji istniała strona dominująca i zdominowana – miłośnik i kochanek, jak mawiali starożytni, centrum i prowincja, dawca i biorca, pan i niewolnik spleceni w odwiecznym paroksyzmie walki klas. Stan równowagi był stanem teoretycznie pożądanym i mitycznym, który dopiero niedawno udało się osiągnąć naszej wysoce uwrażliwionej na innych cywilizacji. Stan ten jest prawnie chroniony. Wcześniej pojawiał się na krótki czas jako przebłysk potencjalnej pełni. Wypracowywany laboratoryjnie wzbudzał pożądanie i melancholię u najwrażliwszych intelektualistów lewicy. Dziś cieszymy się nim wszyscy i wszystkie bez najmniejszego wyjątku.

Szczególnie malowniczo jawią się postindustrialne rezerwaty cyberfanatyków. Mieszkańcy tych miejsc, rozmieszczonych sieciowo na granicach pomiędzy realnością i wirtualnością, wyglądają jak żywcem wyjęci z tak zwanych filmów hollywoodzkich o tematyce fantastycznonaukowej z przełomu dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku przed rewolucją. Mnóstwo czasu spędzają w pozycji siedzącej wyprostowanej i do dziś używają archaicznych klawiatur programisty i Internetu dwa zero, pisanego dużą literą, który regularnie im się zrywa. Wywołuje to wewnętrzne napięcia, podtrzymujące poczucie integracji poszczególnych czatujących między sobą grup i osobników.

Kamienie niczym nie różnią się od pikseli. Niewolnicy przez wieki pozostawali niewolnikami, niezależnie od władzy i technologii, na rzecz których ich praca była wyzyskiwana. Pisarze, skrybowie, kopiści i stenotypiści każdej płci i rodzaju

na przestrzeni wieków pozostawali elitą niewolników, tak jak przedrewolucyjni informatycy. Kodowanie skryptów władzy to praca zamknięta w piramidzie korporacyjnych zależności, logice wyzysku, outsourcingu, rozproszonego autorstwa i pracy zespołowej, w której zaufanie jest swoim lustrzanym odbiciem. Wszelkie próby buntu i dywersji eliminowano w białych rękawiczkach, bez najmniejszego udziału duszy, przy użyciu stale usprawnianych systemów bezpieczeństwa, wyspecjalizowanego oprogramowania i dzięki wzajemnej kontroli uczestników i uczestniczek poszczególnych projektów. Kod nie jest językiem. Jest pragmatycznym sposobem operowania językiem w celu uruchomienia procedur i zarządzania nimi. Nie można porozumiewać się przy pomocy języka programowania, nie można dokonać rewolty przy pomocy kodu. Kodowanie jest pisaniem rozkazów i zarządzaniem maszynami. Praktyka ta ma swoje źródła w choreografii władzy – w wojskowości, etykiecie dworskiej, rytuałach zinstytucjonalizowanego Kościoła, kryptografii i pracach inżynieryjnych na dużą skalę. Kodowanie wymusza jednoznaczność, powtarzalność. Semantyka języka programowania definiuje precyzyjnie znaczenie poszczególnych symboli oraz ich funkcję w programie. Hieroglificzne zapisy algorytmów ułatwiających zarządzanie poszczególnymi czynnościami wykonywanymi przez grupy niewolników podczas budowy piramidy Amenemhata III odkryli niedawno historycy archeologii w niezbadanych dotąd magazynach paryskiego Muzeum Technologii i Technografii. Piksele niczym nie różnią się od kamieni.

Przed rewolucją każde z nas miało około dziesięciu lat na podjęcie tak zwanych najważniejszych decyzji życiowych. Był to czas na sprawdzenie i zrozumienie tego wszystkiego, co się dzieje, rozpoznanie możliwości i dokonanie wyboru. Później zajmowało się odpowiednie pozycje i jechało na cmentarz lub do krematorium, z kilkoma życiowymi zakrętami i przystankami na siku podczas drogi na wakacje i z powrotem. Najgorsze były spotkania z ludźmi o dziesięć lub dwadzieścia lat młodszymi, którzy bardzo chcieli coś zrozumieć, ale wiadomo, że to nie takie hop-siup, że trzeba czasu i zbiórki doświadczeń, żeby coś zrozumieć. „Coś” to nie jest takie byle co. Do pewnego czasu pomagałem więc i krzywdziłem na potęgę. W latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku przed rewolucją

wydawało się nam, że chodzi przede wszystkim o bliskość i bezpośredniość, że to jest „to”. Ale nikt z nas nie umiał tego robić, pomagaliśmy sobie i krzywdziliśmy się na potęgę. Jak wiadomo, najgorsze ze wszystkiego są fantazmaty, ambicje i dobre intencje. Czasem było bardzo wesoło. Bardzo wesoło. A kiedy zaczęliśmy już coś rozumieć, przyszli młodsi, zupełnie inni. Opluli nas i wyśmiali publicznie. Kazali się uczesać, ogolić, wykąpać i założyć inne ubrania. Był taki jeden pamiętny wieczór, którego nigdy nie zapomnę. Od tego czasu całkowicie zamknąłem się w sobie i ewentualnie wyłapuję w wirtualu albo na terenach rekreacyjnych pojedyncze osoby, zwabiam je do siebie i trzymam wiele dni i nocy, by uprawiać z nimi eksperymentalne praktyki psychofizyczne albo zajadać się jakimiś wyszukanymi smakołykami.

Otwarto granice. Oczywiście, po pierwszej fali migracji, która szybko doprowadziła do wyrównania podaży i popytu pracy na otwartym w skali całego globu rynku, *exodus* zatrzymał się na zwykłym, przednowoczesnym poziomie, wynikającym z ludzkiej ciekawości i indywidualnych wyborów poszczególnych obywateli świata, uwolnionych całkowicie od ekonomicznych czy politycznych powodów migracji. Całą rzeczywistość podtrzymują w stabilnym trwaniu i dynamicznym funkcjonowaniu czujne spojrzenia funkcjonariuszy Systemu Bezpieczeństwa i Swobodnej Cyrkulacji Dóbr, Usług, Idei, Energii, Osób i Innych. Przestrzeń publiczna udekorowana jest dyskusjami o delikatnym zabarwieniu politycznym, dzięki czemu nasze myśli wciąż krążą wokół spraw najistotniejszych.

Według tradycyjnych kategorii, które pamiętam z wczesnej młodości, sam obiekt był dziełem sztuki – na przykład dzieło sztuki stanowił obraz. Jest to coraz trudniejsze do zrozumienia z dzisiejszej perspektywy, dosyć gruboskórne i głupie. Takie dzieło, niezależnie od warunków ekspozycji i kontemplacji, niezależnie od tego, czy wisiało, leżało, podróżowało albo było trzymane w zamkniętym magazynie przy wyłączonym oświetleniu, wciąż pozostawało dziełem sztuki.

Sztuka niebędąca wydarzeniem lub spotkaniem bardzo szybko osuwa się do roli elitarnego, ekskluzywnego towaru. Staje się tym, czym dzisiaj są najefektowniejsze produkcje z obszaru projektowania 2, 3, 4, 5, 6, 7 i 8D.

Trudno to sobie dziś wyobrazić, ale sport był kiedyś aktywnością zawodową – widowiskową gałęzią przemysłu rozrywkowego, taką jak teatr czy polityka. Odkrycie potencjałów uczestnictwa w obszarach sportu, mody czy kolektywnym, performatywnym sprzątaniu domów, mieszkań, strychów i garaży, a także w niezobowiązującej bezczynności stanowiło serię zdobyczy kulturowych schyłku drugiej nowoczesności. Często wtedy powtarzaliśmy, że skoro obraz może być dziełem sztuki, może nim być też impreza, melanż, albo długie, uważne i czułe wpatrywanie się w oczy całkiem obcej osoby. Oddawaliśmy się namiętnie kolektywnym eksperymentom modelującym przepływy energii między uczestniczkami i uczestnikami, stopniowo rozszerzając grono partnerów i partnerek o osoby z różnych pokoleń, organizmy nie-ludzkie oraz nieżywych. Niektórych spotkań z tamtego czasu i wzruszeń z nimi związanych nie zapomnę nigdy. Niektórych nigdy nie pamiętałem. Intensywność doznań i ich wielokierunkowość była tak potężna, że kilka osób uległo wstrząśnieniom mózgów, atakom epilepsji, czasowej lub trwałej utracie mowy czy stuporom. Żony porzucały mężów, niektórzy całkowicie zerwali kontakty społeczne. Powroty po poszczególnych wydarzeniach do regularnego, normatywnego życia społecznego, kulturalnego i politycznego, wraz z jego schematycznymi podziałami na dzień i noc, prawicę i lewicę, wegetarian i mięsożernych, stawały się z czasem coraz bardziej irytujące. Rewolucja czaiła się we wszystkich przestrzeniach liminalnych. W pewnym momencie groziło nam wygnanie lub zamknięcie w jednym z rezerwatów.

Przestrzeń jest kobietą, przebywanie w niej stanowi niewyobrażalną rozkosz. Tak mówiliśmy i zanurzaliśmy się w przeróżne formy rozkoszy psychofizycznych. Eksplorowaliśmy seksualność własną i innych, język i jego granice, pamięć i zatracanie się bez pamięci, wyobraźnię własną i innych. Dziś wiemy już,

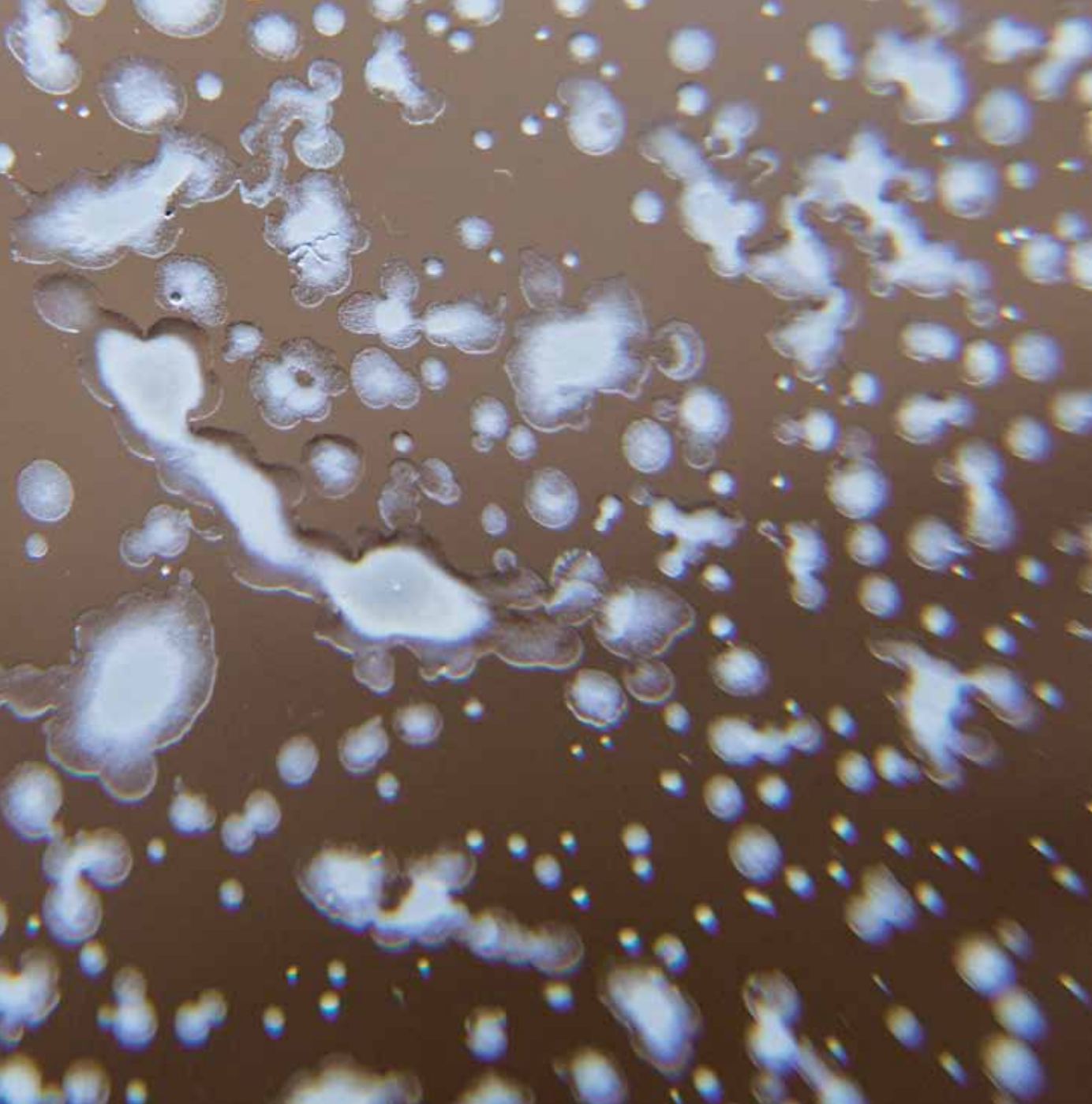

że przestrzeń jest fantazmatem. Oczywiście jesteśmy połączeni z wielowymiarową czasoprzestrzenią, ale bynajmniej nie mamy poczucia zanurzenia w niej. W niczym nie jesteśmy zanurzeni. Poruszamy się po bezpiecznych powierzchniach, starannie opracowanych i skonstruowanych tak, by umożliwić każdemu i każdej z nas dostęp do wszystkiego. Wszystko jest widzialne. Sztuka, rozumiana tradycyjnie, skończyła się.

Przestrzeń jest kobietą, przebywanie w niej stanowi niewyobrażalną rozkosz – tak mówiliśmy przed rewolucją i kompulsywnie zanurzaliśmy się w przeróżne formy rozkoszy psychofizycznych. Dziś wiemy już, że tamte wyobrażenia były fantazmatem. Oczywiście jesteśmy zanurzeni w wielowymiarowej czasoprzestrzeni, ale tylko oglądane z pewnym dystansem obrazy i audiowizualizacje dają nam możliwość uczestnictwa w rzeczywistości. Mleko w czasach powszechnego szczęścia i spokoju jest czyste, białe, pasteryzowane i nieskażone żadnymi neurotycznymi aluzjami i alergenami z brudnej przeszłości. Wolne asteroidy, steroidy i rodniki krążą nad naszymi głowami. Każde z nas jest przykładem czegoś, co się dopiero wyłania.

Samo zaangażowanie, jako kategoria czy styl życia, straciło swój dawny ciężar gatunkowy i sens, a jego potrzeba uwiędła. Udało się skonstruować tak ażurowe, elastyczne, niemal niewidzialne, choć mocne ramy instytucjonalne dla bieżącego życia, że zaangażowanie staje się wobec tego śmieszne, jakby z innej, dawno przebrzmiałej epoki, w której ludzi przepełniała nieufność i poczucie zagrożenia. Myślę, że mam wciąż niespełnioną potrzebę, by wracać do tamtych czasów i spraw, myśleć i mówić o nich. Czynię to z powodu długowieczności i w związku z bardzo intensywnym przeżywaniem poszczególnych etapów życia, którym mógłbym obdarować kilka albo kilkanaście osób. Zaangażowanie, rzucanie się w wir zdarzeń, chęć i potrzeba uczestnictwa… są to wciąż dla mnie jakieś nie do końca rozwiązane kwestie i obszary wspomnień, bogatych w pełne niejednoznaczności napięcia i sprzeczności, kłącza zrywów i ostrożności, pomiędzy

którymi, z poczuciem zagubienia przeplatanym chwilami olśnień, nagłych spotkań i wzruszeń, poruszam się raz szybciej, raz wolniej, chaotycznie, w różnych, nieskoordynowanych kierunkach. Jak dziecko na jakimś upiornym placu zabaw, pozbawione opieki i wody mineralnej. Nic nie poradzę na to, że za każdym razem, kiedy o tym wspominam, mam łzy w oczach i pocą mi się dłonie. Pamięć ciała jest nieubłagana. Bez wątpienia najgorsze są fascynacje. Od dawna zajmuję się tylko tym, co sprawia mi przyjemność, tym, czym chcę. Wciąż nieosiągalną sztuką pozostaje dla mnie nie chcieć nic.

Myję szyby. Takie hobby. Uwielbiam myć szyby, okna, tafle szkła i lustra. Lustra trochę mniej, ale też. Doprowadzać je do stanu doskonałej czystości i przezroczystości, wpatrywać się pod światło w lśniące i gładkie powierzchnie, poruszać powoli skrzydłami, zmieniając kąt padania światła, tropić smugi. Mogę spędzać długie godziny na takich podróżach wzrokiem i cielesnych wyczynach choreograficznych, dzięki którym obie strony szyby stają się niemalże całkowicie przejrzyste. Zbliżam je do nieistnienia i przyczyniam się fizycznie do neutralności naszej cywilizacji.

Całkowity rozłam między sztuką a projektowaniem rozpoczął się tuż po rewolucji, po otwarciu archiwów i uwłaszczeniu baz danych Fashion TV oraz informacji źródłowych na temat wszystkich wytworzonych w historii ludzkości tworzyw sztucznych. Ogromny obszar teorii i praktyk zajmujących się otoczeniem – powierzchniologia, pejzażologia, geodezja, reżyseria światła i dźwięku, urbanistyka, projektowanie w skali od nano do globalnej, aranżacja wnętrz czy tapicerstwo – pełniły zawsze ogromną rolę w kształtowaniu obrazu naszego świata. Artyści tęsknili za tym wpływem, którym kiedyś, w czasach rękodzieła, dysponowali. Stąd trwający setki lat, korumpujący sztuki potencjalnie wyzwolone ze wszystkiego, toksyczny romans z dizajnem, romans ze śmiertelnym wrogiem, rakiem podszywającym się pod żywiciela i przechwytującym jego złożoną, oddolnie produkowaną,

ciemną, poliwęglanową materię, by skapitalizować ją w formie lśniących lub matowych powierzchni, cyfrowych profitów, ergonomicznych miękkości i twardej własności niepodzielnego kapitału symbolicznego.

Rozłam pozwolił sztuce stanąć po stronie nagości, bezbronności i otwartości. Wraz z nową pedagogiką i konserwacją zajęła się ona z czułością sama sobą i wrażliwymi odbiorcami – obecnością w tych jakże mądrze, starannie, precyzyjnie i odpowiedzialnie kształtowanych instytucjach, przestrzeniach wystawienniczych i krajobrazach. Nie chodzi wcale o niezgodę na iluzję, spektakl czy projekt. Czysta, niepodszyta wyrachowaniem iluzja uatrakcyjnia nasze przygody percepcyjne. Mamy raczej do czynienia z wyraźnym i pokojowym podziałem spektrum, terytoriów i perspektyw, które kiedyś wydawały się tożsame. Mylono bowiem patrzenie z obrazem, powierzchniologię z cielesną obecnością na powierzchni, nieinwazyjne dawanie zgody na patrzenie z opresyjnym kształtowaniem formy. To, czym zajmuje się projektowanie, to coraz subtelniejsze techniki ukrytej przed publicznością władzy – udoskonalanie obrazów świata. Dziedziny takie jak sztuka, pedagogika, medycyna z konserwacją i teoria obejmowania skupiają się na uwrażliwianiu i uświadamianiu wpływu, jaki na nas te obrazy wywierają. W połączeniu z konsekwentnie prowadzoną od najwcześniejszego dzieciństwa edukacją, uświadamiającą potężny wpływ obrazów na życie doczesne i wieczne, sztuka stała się medium kształtowania stosunku do rzeczywistości każdego i każdej z nas – ścieżką rozwoju umiejętności bycia, miłości i czułości do siebie i otoczenia. Płodzi w nas potrzebę i wolę tego jakże specyficznego ruchu odśrodkowego, możliwego do swobodnego wykonania tylko w doskonale zaprojektowanym świecie, przepełnionym równością i otwartością, w którym czas płynie wolniej, jest gęsty, pachnący i wielowymiarowy, w którym śmierć i wyzysk zostały już niemal całkowicie zniesione. Dawniej każdy musiał być artystą, by przeżyć, dziś niektórzy tylko tego chcą – by dryfować po obrzeżach cywilizacji, w oddaleniu na dalekim planie i umierać powoli, spokojnie i godnie, dając innym przykład intensywnej obecności w świecie tu i teraz, na warunkach odwołujących się do odpowiedzialności własnej.

[tekst nadpisany bezpośrednio na poprzednim akapicie]

Kolejne lata i praktyki wielu artystów, kuratorów i eksperymentatorów wskazały na obszary możliwych zmian. Wraz z postępującym rozwojem technologii i wrażliwości społecznej zaczęliśmy traktować rzeczywistość, kulturę i jej kolekcje z rosnącą czułością. Wektory zostały poodwracane. Sztuką stało się samo patrzenie, otwieranie się, branie, a nie inwazyjne przetwarzanie materii, energii i informacji. Kolekcje przestały być przestrzeniami opresji i stały się przestrzeniami oddziaływania sił odśrodkowych, dzięki którym wraz z procesami analizy (rozumianymi etymologicznie jako rozmiękczanie utrwalonych połączeń i zrostów kulturowych, formalnych i informacyjnych) udało się doprowadzić do rozproszenia elementów składowych danych kolekcji oraz dekoncentracji uwagi poświęcanej im do tej pory. Wernakularność, patrzenie nieuważne, zerkanie, łypanie czy rzucanie spojrzeń pod różnym kątem stały się elementami repertuaru nowej sztuki i znakami jej jakości, opartej na lekkości, ulotności i bezpretensjonalności. Powietrze i światło, które zagościły w powstałych w ten sposób szczelinach, nie pozwoliły powrócić do starych, przebrzmiałych schematów ekspozycyjnych. Dalsze zmiany były już tylko kwestią leniwie, choć wciąż konsekwentnie i nieubłaganie działającego, na nowo rozumianego, nieliniowego czasu i progresywnych energii porewolucyjnych, którymi do dziś tryskają młode pokolenia eksploratorów buszujących po ruinach miast i muzeów czy bojowników podróżujących po całym wszechświecie. Szczepią oni lub tropią coraz to bardziej wyrafinowane formy piękna, dobra i mądrości. Bo, jak niegdyś głupota, tak teraz mądrość, piękno, przenikliwość i wrażliwość mają bardzo różne odcienie.

całym wszechświecie nie ma nikogo ani niczego, o kim lub o czym mógłbym powiedzieć, że go lub jej nienawidzę.

Dzieciństwo i wiek dorastania przeżywałem na terenach Środkowej Europy na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku przed rewolucją. Podobnie jak niemal wszystkie białe dzieci w moim pokoleniu byłem wychowywany w nienawiści do innych kultur, kolorów skóry, tak zwanych religii i obyczajów. Nienawiść tę aplikowano bardzo precyzyjnie, w małych dawkach, umożliwiając jej uwewnętrznienie bez skutków ubocznych. Kiedy pojawiały się odruchy obronne czy próby odrzucenia jej elementów, uruchamiano programy retoryki zastępczej o zabarwieniu multikulturalistycznym lub mówiono o misjach cywilizacyjnych, wartościach uniwersalnych i naszej odpowiedzialności za innych w związku z setkami lat kolonializmu i wyzysku, na których nasz region zbudował pozycję w relacjach globalnych. Bito nas regularnie, a jedynymi wartościami, jakie wyznawali nasi rodzice, była pogarda dla innych i praca – praca, którą trzeba było odebrać innym i mieć jej jak najwięcej dla siebie, by zapracować się na śmierć i pogrzeb – nagrodę za cierpienia, które zadawaliśmy sobie i innym nieustannie, z krótkimi przerwami na chwile, kiedy przez moment czuliśmy się szczęśliwi. Im więcej cierpienia, tym lepiej. Im więcej jadu, tym lepiej. Nasz własny jad był odtrutką na jad najbliższych i sąsiadów. Im więcej cierpienia udało nam się zadać, tym mniej zadano nam. Chwalono nas tylko wtedy, kiedy dokopaliśmy komuś na tyle dotkliwie i skutecznie, by nie pozostało wątpliwości, że jest od nas gorszy. Nic nigdy nie było tym, czym było. Za wszystkim czaił się spisek. Wszędzie ktoś lub coś manipulowało faktami albo tak zwaną opinią publiczną. Opinia była mdłą pianą, w której wszyscy nurzaliśmy się i gestykulowaliśmy namiętnie, przekrzykując się wzajem, by nie zatonąć lub nie udusić oparami pożeranego jednocześnie bigosu i chleba. Wszyscy toczyli wojny, modlili się o wojny, a wyżej wspomniana piana toczyła się z ust każdemu. Już wtedy tęskniłem za czymś nieokreślonym, jednak jasnym, otwartym i nieskomplikowanym. Czymś płaskim i bezpośrednim, czymś, co nie ma drugiego, trzeciego czy czwartego dna. Za światem, w którym to, co jest, jest tym, czym jest i niczym więcej. I doczekałem się. Moje pokolenie – mimo że poczucie to podszywa zmęczenie i melancholia – jest najwdzięczniejszym i najszczęśliwszym pokoleniem we wszechświecie. Mamy wszystko to, co mają młodsi od nas, którzy nie zawsze potrafią docenić to, co mają, gdyż nie pamiętają koszmaru przeszłości.

Sztuką jest teraz stan wzmożonej uważności, realizacja nadwrażliwości – samo patrzenie jest sztuką. Każdy jest odbiorcą – mówię od lat. Należy uczyć się brać od najmłodszych lat. Czyste i długie spojrzenia są szczególnie cenione. Wirtuozi potrafią patrzeć godzinami. Całymi dniami i nocami delektują się zmieniającymi się warunkami percepcji. Ciekawe efekty przynoszą też eksperymenty z patrzeniem kolektywnym w tym samym lub w różnych kierunkach, jednoczesnym jedzeniem i patrzeniem albo patrzeniem w ruchu – *slow-motion*, *slow-look*, *slow-view*, *slow-food* czy tak zwany *regarding*. Dziś dziełem sztuki nazywamy każdą złożoność – dyspozytyw, *ensemble,* czyli całokształt relacji między uczestnikami danego zdarzenia wraz ze wszystkimi współtworzącymi je elementami – tekstami i kontekstami danej sytuacji. Konteksty dzielimy na bezpośrednie lub pośrednie. Przestrzeń działania, środowisko, *ensemble,* nazywane są czasami żywym obrazem. Uczestnicy, przebywając w takim obrazie lub wobec niego, we wszystkich możliwych, wciąż zmiennych pozycjach, współtworzą daną, zawsze niepowtarzalną sytuację artystyczną. Historyczne i nieistotne z dzisiejszej perspektywy podziały na to, co analogowe i cyfrowe, naturalne i kulturalne, są podobno kultywowane na najbardziej konserwatywnych kierunkach artystycznych zajmujących się mediami. Pozostają one przywiązane plątaniną archaicznych kabli do technologicznych aspektów produkcji kulturowej, wykreowanych w dwudziestym i dwudziestym pierwszym wieku przed rewolucją przez przemysł wojenny, rozrywkowy i fetyszystyczny.

Cóż, ciekawe jest to, że mamy bardzo dobry kontakt z ludźmi młodszymi. Kontakt ten zastępuje całkowity brak relacji z wcześniejszymi pokoleniami. Większość ich przedstawicieli wymarła podczas rewolucji, umożliwiając przyszłe, radykalne zmiany. Oczywiście nosimy ich wszystkich w sobie trwale zakodowanych.

Sport masowy, moda i projektowanie otoczenia stały się przestrzeniami najbardziej wyrafinowanych eksperymentów na styku nowych strategii pracy z formą,

energią, ciałem, umysłem i wzrokiem skierowanym w przyszłość. Wsparcie biotechnologii, chemii, medycyny, kosmetologii i resztek przemysłu wojskowego jest niebagatelne. Z czasów masowych podróży kosmicznych, kiedy połączone przemysły militarne i tekstylne nie nadążały za wymyślaniem i szyciem szykownych, wygodnych i oryginalnych kostiumów dla kosmicznych turystów, do dziś w języku pozostało wiele określeń profesji, których nikt z nas już dawno nie wykonuje.

[tekst nieczytelny]

oprócz wielu zmian, doprowadziło to do integracji terenów rekreacyjnych i sportowych z innymi elementami pejzażu miejskiego. Praktyki rekreacyjne przestały być traktowane jako wstydliwe lub elitarne potrzeby, realizowane nieśmiało w wyodrębnionych przestrzeniach, pod odpowiednim oświetleniem i w przystosowanym obuwiu. Stały się raczej częścią bieżącego życia i jednym z codziennych sposobów używania przestrzeni publicznej. Bramki do piłki kontaktowej, kosze do bezdotykówki, dołki golfowe czy tory pływackie tak jak niegdyś słynne ścieżki rowerowe rozcinają i wzbogacają tkankę miejską o często bardzo nieoczekiwane zderzenia elementów architektury i zieleni. Otwieranie oczu, wyobraźni i całych ciał na gesty transgresji, na wyabstrahowaną z pragmatyki obecność w pejzażu i na spotkania odświeżające percepcję przestrzeni oraz samych siebie stały się nowym obszarem eksploracji wielu moich przyjaciół i przyjaciółek. Niezwykle istotnym aspektem tych przemian jest fakt, iż cała ta infrastruktura pozwala niemal naturalnie nawiązywać nowe, niespodziewane relacje społeczne, tak bardzo potrzebne nam wszystkim, którym spokój i nadwrażliwość odebrały mowę i umiejętność – brutalnie mówiąc – przełamywania niewidzialnych barier między szeroko rozumianymi nami.

Mnóstwo moich znajomych nosi przy sobie piłki lub inne akcesoria sportowe. Inni owoce. Lubię dzielić się owocami z przypadkowo spotykanymi ludźmi. Albo orzechami, co jednak bywa ryzykowne przy nawiązywaniu nowych relacji

ze względu na powszechne w naszej populacji alergie pokarmowe i atopowe zapalenia skóry, a także z powodu trudności technicznych, na jakie napotykamy, gdy chcemy otworzyć orzech w miejscu publicznym. Jeśli chodzi o noszenie piłek, mnie osobiście wydaje się to zbędne, ponieważ w przestrzeniach publicznych jest ich tak dużo, że spokojnie można korzystać z tych przypadkowo napotykanych, porozmieszczanych w przeróżnych, czasem bardzo nieoczekiwanych miejscach i przestrzeniach oraz otwierać się tym samym na incydentalne zachęty i podniety do dokonania czegoś niecodziennego. Sadzi się też ostatnio mnóstwo drzew owocowych. Jednak w związku z tym, że dokonuje się tego najbardziej tradycyjnymi metodami upraw sadowniczych, musimy jeszcze trochę poczekać, zanim zaczną owocować.

Byłem kiedyś w wieloletnim związku z kobietą idealną – doskonałą pod każdym względem i we wszystkim. Tylko w niewielkim stopniu była zmodyfikowana genetycznie. Kiedy wchodziła do pomieszczenia, w którym przebywały inne osoby – trolle, ludzie, klony, naczelni, obcy, nieważne – zawsze wzbudzała podziw i zainteresowanie. Mówiono: ona jest zjawiskowa. Była, i wciąż jest, piękna, mądra i dobra. Miała w sobie spokój, wyrozumiałość i ciekawość dla całego świata, dla każdej najmniejszej, najbardziej plugawej istoty oraz dla wszelkich jej niedoskonałości. Jako osoba doskonała inspirowała się i wzruszała niedoskonałościami innych. Czyniła to bez wyniosłości i arogancji. Pomagała, pozwalała sobie pomagać i prowadzić po meandrach życia. Nie bała się mroków ani kolorowych świateł. Należy dodać, że sam też ocieram się o doskonałość w wielu aspektach życia codziennego. Z pełną wzajemnością z mojej strony akceptowała wszystkie moje potrzeby i wszelkie, nawet najbardziej ekstrawaganckie fanaberie. Nasz związek rozwijał się dynamicznie i harmonijnie. Był oczywiście doskonale otwarty i pełen miłości do całego świata. Przyjaciele i przyjaciółki przychodzili po rady i zostawali niejednokrotnie bardzo długo. Byliśmy generatorem miłości, można rzec. Zawsze i wszędzie dochodziliśmy jednocześnie. Po osiągnięciu pełnej doskonałości trwaliśmy w tym stanie szmat czasu. Na szczytach panuje cisza, dopóki ktoś jej nie zmąci w jakiś głupi i nieodpowiedzialny sposób. A każdy sposób jest głupi

i nieodpowiedzialny wobec doskonałości. Trudno powiedzieć, kiedy zacząłem nią pogardzać albo kiedy ona zaczęła pogardzać mną. Coraz częściej wychodziłem, by czas spędzać samotnie w pustych galeriach sztuki. Pogarda jest bardzo drażliwym tematem w naszej egalitarnej kulturze. Jest chorobą, z którą należy zgłosić się do lekarza natychmiast po stwierdzeniu pierwszych objawów. Epidemia pogardy mogłaby zniszczyć nasz globalny porządek. Dlatego w pewnej chwili zostałem zmuszony, by zakończyć tę relację niemal jednym muśnięciem ekranu. Nie żywimy wobec siebie urazy. Na ruinach bardzo szybko wyrosła splatająca się ze sobą dzika, zielona roślinność i wielobarwne kwiaty najróżniejszych gatunków, które do dziś walczą z soczystymi chwastami i atakującymi je ze wszystkich stron pasożytami i roślinożercami.

Eksperymentowałem w tym czasie z alternatywnymi tradycjami pedagogicznymi i strategiami edukacji radykalnej oraz wielokierunkowymi relacjami międzypokoleniowymi. Zdarzało mi się, że biłem studentów. Spędzaliśmy w małych grupach badawczych całe dnie i tygodnie, sypiając ze sobą w różnych konfiguracjach. Wyjeżdżaliśmy regularnie na długie wycieczki do lasu lub do ważnych wtedy ośrodków kulturalnych, takich jak Pekin czy Dubaj. Często stawiałem im piwka, a oni częstowali mnie najróżniejszymi wydizajnowanymi narkotykami, ucząc przy okazji nowych zachowań i zwrotów frazeologicznych. Kradłem im pomysły, zgrywałem materiały audiowizualne i pochłaniałem *playlisty*. Tańczyliśmy przytuleni i przepełnieni wzruszeniami. Czasem trwaliśmy w milczeniu wiele godzin – nadzy i rozbrojeni. Stosowałem skomplikowane algorytmy oceniania, systemy samooceny lub losowałem noty. Wszystko to zazwyczaj bardzo dobrze wpływało na procesy poznawcze, dydaktyczne, rozwój artystyczny i psychomotoryczny młodzieży, zwłaszcza na koordynację werbalno-ruchową i propriocepcję. Brałem i dawałem z siebie wszystko, oni niewiele, ale i tak więcej niż gdzieś indziej. Podczas prac nad projektem habilitacyjnym zabiłem studenta. Wylosowaliśmy jednego chłopca, wszystko było przeprowadzone legalnie, zebrałem wszystkie potrzebne podpisy. Merytorycznie projekt uzasadniał się znakomicie. Nic dodać, nic ująć. Zrobiłem to z miłości – do świata i do sztuki. Byłbym tchórzem,

gdybym zrezygnował z tego małego, acz radykalnego gestu. Należy pamiętać, że mowa o czasach, kiedy śmierć była zjawiskiem nieodwracalnym. W toku prac nad projektem odwoływaliśmy się do filozofii francuskiego myśliciela, Alaina Badiou, który zagadnienia etyczne wyprowadzał bezpośrednio z operacji matematycznych – logiki i teorii zbiorów, dając tym samym wgląd w bezwzględny obraz więzienia normatywnie rozumianych kategorii ontologicznych. Podsumowującą projekt publikację świetnie opracowała graficznie moja ówczesna miłość życia. Starannie sporządzoną dokumentację, uzupełnioną komentarzami w sześciu językach kontynentalnych złożono w terminie i zarchiwizowano na najtrwalszych nośnikach. Globalna Komisja ds. Stopni Naukowych miała pewne zastrzeżenia i uwagi, ale były one raczej natury formalnej. Aż pewnego dnia jeden gnojek poszedł z roboczymi nagraniami do władz uczelni i naopowiadał jakichś bzdur. Chciał chyba coś tym ugrać, nie wiem. Chłopak był sprytny i potrafił być miły. Dorobił się podczas rewolucji niezłych wpływów. Jego syn jest teraz profesorem w jednej z najlepszych pracowni projektowania i modelowania syntetycznych twarzy. Robił mi korektę symetrii. On sam wciąż pozostaje bardzo poważaną osobą w kręgach tworzących znaczenia. Nie zdążyłem dokończyć przewodu, ale i tak rewolucja rozpierdoliła cały ten skostniały i pełen hipokryzji system, w którym tchórze i idioci udający, że na czymś się znają, udawali, że uczą czegoś gówniarzy, którzy udawali, że ich to obchodzi. Najgorsze w tamtym czasie, obok wyzysku oraz relacji władzy symbolicznej, były choroby weneryczne. Niektóre sprawy czasem wymykają się spod kontroli. Kochałem, bałem się, siałem strach i przepraszam. Cóż, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Wirusy i wspomnienia, które udało się wymordować, oczywiście odeszły w niepamięć, ale niektóre wciąż żyją, krążą i pracują w naszych organizmach i tak już będzie zawsze, trzeba się z tym pogodzić. Ja osobiście jestem pogodzony i nikogo ani niczego nie żałuję. O pewnych sprawach od dawna nie ma już sensu dyskutować. Prowadziłem wtedy bardzo wnikliwe badania transdyscyplinarne dotyczące dynamiki relacji i skrótów myślowych wytwarzających się w warunkach kompresji sensów w grupie osób przebywających ze sobą na określonym terytorium dłużej niż dobę. W ramach jednego z programów badawczych zająłem się też nielegalną pracą studentów i studentek uczelni, na której wykładałem. Dzięki zdobytemu u gnojków zaufaniu miałem wgląd w informacje niedostępne dla innych wykładowców,

rodziców i ich partnerek czy partnerów. Długo żyłem z prezentów, szantaży i wyłudzania pieniędzy od małolatów. Prostytucja, cyberprostytucja, pisanie prac zaliczeniowych i dyplomowych za pieniądze, handel i przemyt tak zwanych dopalaczy, narkotyków czy sera oraz handel w tak zwanym wtedy *czarnym internecie*, produkcja i spekulacja wirtualnymi walutami, fikcyjne małżeństwa, hazard, cyberhazard, e-sporty, chałtury na weselach, pogrzebach i tak zwanych komuniach, taniec i striptiz w nocnych klubach, praca w przemyśle porno na wszystkich stanowiskach, modeling, pozowanie do zdjęć, rysunków, obrazów, rzeźb i kalendarzy, udział w serialach para-dokumentalnych lub rozrywkowych, kradzieże i paserstwo, sprzątanie, uległość i towarzyszenie podczas spacerów lub wyjazdów weekendowych, sponsoring, żebractwo, wróżbiarstwo, masaże erotyczne i inne, wyrób i sprzedaż rękodzieła, malowanie portretów, aktów i falsyfikatów dzieł mistrzów, wyłudzenia, praca w przemyśle kredytów natychmiastowych, tłumaczenia dla najbardziej podrzędnych wydawnictw brukowych, nielegalny kolportaż plakatów, ulotek i ogłoszeń oraz *trolling* wirtualny i realny, czy inne formy cyberterroryzmu do wynajęcia – nigdy wcześniej ani później nie widziałem tylu szeroko otwartych, pełnych nadziei i smutku oczu. Oddolność nie istniała już od dawna. Miłość i litość można było kupić za paczkę frytek. Sarkazm był religią. Aroganccy akademicy zatrudnieni na pełnych spokoju etatach uniwersyteckich podczas paneli dyskusyjnych i na społecznościowych portalach kpili z coraz głupszego społeczeństwa. Jedna osoba na tysiąc stawała się sławną i bogatą artystką. Albo artystą. Inni pożyczali od nich pieniądze i umierali młodo w narkotykowych konwulsjach lub ginęli w czarnej materii przemysłu kognitywnego – w depresji, frustracji i agresji. Wszyscy wszystkim zazdrościli, wszyscy się bali, walczyli ze sobą i mordowali po kryjomu. Trucizna sączyła się ze wszystkich szpar. Koszmar, w którym wszyscy bez wyjątku braliśmy czynny udział, trwał niewzruszenie, aż [nieczytelne].

W przedrewolucyjnej rzeczywistości intensywne patrzenie było, przyznam, bardzo trudne, traumatyczne i w pewnym sensie nieeleganckie. Perwersyjne seanse patrzenia przypominały – niejednokrotnie uderzając niespodziewanie

w cały porządek rzeczywistości – o czarnym bezczasie i bezkresie, o wiecznym niebycie w śmierci. Jednocześnie reprodukowały nierówności społeczne i potwierdzały ograniczony dostęp do dóbr luksusowych. Marzenia o pozbawionym lęku i wyrzutów sumienia patrzeniu wypełniały moje najtrudniejsze chwile podczas studiów na Akademii Sztuk Pięknych, wyciskając łzy z oczu i powodując ataki panicznego, paraliżującego strachu i obezwładniające fale zniechęcenia. Obrazy są cienkie i wrażliwe jak piksele, a nasze spojrzenia – po latach doświadczeń – coraz czulsze i ostrożniejsze. Za powierzchnią zawsze czaiła się śmierć. Dlatego tak trudno było powierzchniologii rozwinąć się w poprzednich epokach. Jedni badacze i podróżnicy z lubością poruszali się po powierzchniach, twierdząc, że cała prawda leży jak na dłoni w symptomach. Inni z zapamiętaniem nurkowali w mrokach niewiedzy, nieświadomości, nieuchwytnych emocji i lepili z tego błota pretendujące do czegoś odkrywczego bełkotliwe formy. Oba obozy ścierały się podczas słynnych sympozjów, a tłumy kibiców wspierały swoich idoli. Dopóki nie poradziliśmy sobie ostatecznie z nieodwracalnością śmierci, cała ta gra była groteskowa i całkowicie nierozstrzygalna.

[...] samotnie zasypiających intelektualistów [...] wielogatunkowe kolektywy artystów i artystek, zapatrzonych w powierzchnie o różnych parametrach transparentności. Dizajn zajmuje się przykrywaniem, sztuka – odkrywaniem.

Wizyta w rezerwacie paradoksów percepcyjnych zaszczepiła we mnie myśl, że być może iluzja wcale nie jest tak jednoznacznie złym zjawiskiem, jak nam się to często przedstawia w oficjalnych dokumentach. Dobrze przeprowadzony proces iluzyjny może być olśniewającym wydarzeniem – wzniosłym spotkaniem z paradoksem tajemnicy, która jest jednocześnie fizyczną oczywistością. Poddana mentalnej obróbce przestaje być przemijającym optycznym złudzeniem. Iluzja nadaje obiektom kształty i bryły, powierzchnie i kontury, trójwymiarowe cienie i zmaterializowane powidoki. W ten sposób w przestrzeni manifestuje się jej konstytuująca siła,

siła spotkania kilku przynajmniej wymiarów. Nieoznaczoność i niejednoznaczność ich przenikania kusi i testuje naszą odporność na nowe generacje fantazmatów. Dalej [nieczytelne] po uzupełnieniu płynów, w sąsiednim, bliźniaczym pawilonie obserwowaliśmy fenomeny jednoznaczności ujmujące swą niemal upokarzającą pospolitością, banałem i prostotą. Warto jest się im przyglądać uważnie. To, co jednoznaczne, umożliwia zobaczenie i przeżycie różnicy. Bo czyż lepiej widzieć źle, mieć wzrok zły, ale oglądać dzięki niemu piękny świat, pięknych, mądrych i dobrych ludzi, nie-ludzi i innych mieszkańców i mieszkanki? Czy może lepiej jest mieć wzrok doskonały, bystry, przenikliwy i ostry jak laser i patrzeć na świat pełen niedoskonałości, głupoty i zła, smutny, ponury i zniszczony? Cieszę się, że już od dawna nie muszę wybierać między tymi alternatywami.

Tak, to jest bardzo miło i mądrze spędzony czas. Intensywną pracę przeplatamy niezobowiązującą zabawą lub swobodnie poddajemy się biegowi zdarzeń. Pamiętam jeszcze, jak wulgarne znaczenie miały wakacje *all-inclusive* w mojej wczesnej młodości. Wszyscy, którzy pamiętamy, wstydzimy się z powodu tego społecznego zgłupienia, w którym czynnie lub biernie uczestniczyliśmy. I nie dotyczy to bynajmniej jedynie wczasów *all-inclusive*. Wczasy *all-inclusive*, jako jeden z wielu przejawów powszechnie propagowanej głupoty połączonej z wyzyskiem, reprodukowaniem nierówności i wszelkimi formami zanieczyszczania planety i jej atmosfery, powinny się były nazywać *all-exclusive*. Wakacje *all-inclusive*, odkryte na nowo, są czymś niezmiernie przyjemnym nie tylko dlatego, że odwołują się do najgłębszych społeczno-politycznych i filozoficznych idei inkluzywności, otwartości i praktykowania relacji społecznych opartych na pełnym akceptowaniu różnorodności, inności oraz respektowaniu organicznie uwewnętrznionych przez niemal wszystkie młodsze ode mnie pokolenia zasad egalitarności. Są przyjemne tak po prostu, prostolinijnie, zwyczajnie i powierzchownie – dają możliwość realizacji wszelkich, najbardziej różnorodnych, prostych i wyrafinowanych form rozkoszy bez moralnych rykoszetów w postaci poczucia winy czy zawstydzenia. Starannie opracowane procedury połączone z bezpośrednim doświadczeniem osób zatrudnionych w poszczególnych ośrodkach sprawiają, że szczęście i przeróżne

formy spełnienia osiąga się niemal natychmiast. Potencjalne spektrum doznań i propozycji zostało starannie zaprojektowane w oparciu o dogłębną analizę współczesnej interpretacji piramidy potrzeb i inne, bardziej nowoczesne badania dotyczące drażliwego obszaru marzeń, fantazmatów i ich spełniania przy jednoczesnym wdrażaniu leczenia chorobotwórczych obrazów. Teoria oraz techniki bezpośredniej pracy, zabawy i walki są wciąż modyfikowane i doskonalone. Och, gdybym był młodszy i bardziej otwarty na kolejne przygody z obszarów wiedzy całkowicie mi nieznanych, może poświęciłbym kolejne kilkanaście lat na pracę w jakimś transdyscyplinarnym zespole badającym te sprawy. Póki co, chętnie, wraz z przyjaciółmi i randomowo wybieranymi z systemu relacji osobami, regularnie biorę udział w kolejnych turnusach organizowanych w różnych ośrodkach rozsianych po całej planecie. Oczywiście, wymagania uczestników rosną i zmieniają się wraz z nieograniczoną inwencją badaczy i animatorów rozkoszy. Najważniejsze jest to, że wszystkim, ale to dokładnie wszystkim uczestnikom tego sektora współtworzenie go sprawia niczym nieposkromioną radość i nieskrępowaną przyjemność. To się zwyczajnie czuje, obcując z nimi. Znam mnóstwo sceptyków starej daty, którzy dopiero po takiej podróży zrozumieli, w jak pięknych czasach przyszło nam żyć. Oferty *all-inclusive*, prócz tradycyjnych elementów, takich jak wyrafinowane potrawy i napoje z różnych regionów i epok, wypełnione są rozmaitymi formami otwierania i stymulacji turystów w obszarze doznań wprowadzających w najwyższe rejestry przyjemności i rozkoszy. Wachlarz propozycji rozciąga się od technologii żywieniowych oraz zabiegów fizjoterapeutycznych i kosmetycznych, poprzez terapie hormonalne, dyskretne zabiegi dramaturgiczne i ikonograficzne po budowanie odpowiednich nastrojów z użyciem szeroko rozumianej przestrzeni audiowizualnej w każdej skali. Uczestnik lub uczestniczka może oczekiwać wszystkiego – od depilacji, przez zabiegi kosmetyczne i wielogodzinne stymulacje miejsc intymnych, aż po całodobową, dyskretną reżyserię audiosfery, światła i cienia w otaczających dany ośrodek pejzażach. Wszystko razem zapiera dech w piersiach, wzrusza i uwodzi, miód i wanilia leją się z nieba wraz z żarem filtrowanych promieni słonecznych. Oczywiście, jak sama nazwa przedsięwzięcia wskazuje, *all-inclusive* dostępne jest wszędzie absolutnie dla wszystkich. Wiem, że trudno to sobie wyobrazić tym, którzy tego nie przeżyli, ale uwierzcie mi, naprawdę tak jest i to działa na wszystkich, dzięki starannej analizie profilów poszczególnych

wczasowiczów i wczasowiczek. Pakiety propozycji są pieczołowicie dobierane według precyzyjnie personalizowanych potrzeb z uwzględnieniem różnej szerokości marginesów niespodzianki, jakimi zainteresowane są poszczególne osoby. Potencjalna otwartość na nieznane obliczana jest bardzo rzetelnie przy pomocy wciąż doskonalonych algorytmów, pracujących w oparciu o analizę ogromnej ilości danych codziennie gromadzonych na temat każdej i każdego z nas przez harmonijnie współpracujące z nami systemy zapewniające bieżące bezpieczeństwo, spokój i pewność siebie wraz ze społeczną pewnością, że świat wreszcie zmierza w kierunku, który zapewni kolejnym pokoleniom postępujące poczucie powszechnego szczęścia i samorealizacji. Procedura ma skróconą nazwę, której teraz nie pamiętam. Użycie indywidualnego klucza umożliwia bieżący monitoring aplikowanych nam treści.

. opowiadała mi niedawno historię śmierci z wyboru jednego z jej partnerów. To była piękna opowieść. Wzruszaliśmy się oboje. P. był artystą, kochał to, co robił, można powiedzieć, dozgonnie i zdecydowanie. Nie chciałbym, by zabrzmiało to groteskowo. Poświęcał się z najintensywniejszą wrażliwością temu, co robił, na co patrzył... Uwielbiał pływać w czystej wodzie, w otwartych akwenach, takich jak morza i oceany, wpław i kajakiem. Pewnego dnia ustawił na brzegu strumieniową kamerę transmisyjną z zasilaniem fotowoltaicznym, zaopatrzoną w znakomitą, nawet jak na nasze standardy, optykę. We wszystkim był perfekcjonistą. Kamera może pracować niemal wiecznie, a przynajmniej do końca naszego świata, wciąż w dużym stopniu uzależnionego od promieni słonecznych. Kadr wyjściowy został ustawiony bardzo staranie, co podkreśla wielu krytyków, którzy mieli możliwość oglądania realizacji od początku, na żywo, a także ci, którzy przeglądali materiał archiwalny i zestawiali go z trwającą do dziś, samoarchiwizującą się transmisją. Przed wejściem do wody artysta dokonał niemal rytualnego aktu masturbacji na linii brzegowej. Wytrysk połączył go z morzem. Po chwili wysunął kajak własnej konstrukcji na niemal nieruchomą taflę wody. Obiekt był jego autorską rzeźbą o minimalistycznej formie wykonaną z pietyzmem przy użyciu biodegradowalnej masy białkowo-węglowej. Wszedł do

środka i popłynął w kierunku linii horyzontu. Płynąc, wyznaczył w polu obrazu zawiłą figurę meandryczną, która nie przekraczała granic pretensjonalności. Cechowała ją – należy to przyznać – elegancja i powściągliwość, jakie na co dzień charakteryzowały samego artystę w relacjach z ludźmi. Można rzec, że była to jego sygnatura. Jeden z kanadyjskich badaczy zauważył, że figura koduje poetycką treść, a właściwie niemal całkowicie abstrakcyjny przekaz, nawiązujący jednocześnie do konceptualnych strategii drugiego pokolenia minimalistów kalifornijskich i literackich tradycji sanskrytu. Artysta poruszał się powoli, jego twarz jaśniała w słońcu spokojem i poczuciem pewności. Był, jak to się mówi, całym sobą „tu i teraz". Tradycja filmowa zna mnóstwo przykładów gry z relacjami między dwoma i trzema wymiarami. W tym przypadku dramat znikania, obraz jako pole działania i spełniona dialektyka obecności i nieobecności ocierają się o totalne spełnienie, wytrącające wszelkie narzędzia krytyki i ironii.

Widać to doskonale na nagraniu. Niemal na linii horyzontu, na spokojnej tafli, artysta zatrzymał się i długo, przez wiele godzin, wpatrywał smutnym wzrokiem w oko kamery, pozwalając znosić się prądom morskim. Było to jedno z najmocniejszych spojrzeń w historii wzroku. Dryfował. Później poruszał się powoli w poprzek kadru, balansując na krawędzi horyzontu. Po pewnym czasie fale wzmogły się i kajak zaczął niebezpiecznie kołysać się i przewracać. Artysta wpadł kilka razy do wody, krążył wpław, oddalał się, zbliżał i wracał do łódki. P. stawał się coraz słabszy, jego ruchy rwane, a fale coraz silniejsze. Promienie słońca rozszczepiały się i migotały na kadłubie kajaka, który bezwładnie miotał się wśród fal. Artysta zaprzestawał walki. Moment poddania się, oddania żywiołowi, robi niesamowicie dramatyczne wrażenie. P., co widać zwłaszcza przy bardzo pięknych, powolnych najazdach automatycznego *zooma*, zachowuje spokój, a jego oczy lśnią. Kajak coraz częściej znika pod falami, aż, za którymś razem, nie wyłania się więcej. Muchy na skale widocznej w lewej dolnej krawędzi obrazu jeszcze przez kilka kolejnych dni jedzą schnącą spermę. Całe zdarzenie zostało bardzo ciepło przyjęte przez krytykę. Interpretowano je jako rozpaczliwą i podniosłą próbę skonfrontowania archaicznej techniki performancu dokamerowego

z dramatem, który odbywa się w trybie ciągłym, w czasie rzeczywistym, jako żywy obraz bez czasoprzestrzennego końca. Nigdy nie odnaleziono ciała P. Koresponduje to z tradycyjnym pojmowaniem przez niego śmierci jako czegoś nieodwracalnego. Nikt do dziś nie odkrył, gdzie całe zdarzenie miało miejsce. Transmisja trwa. Zaglądają na nią czasem krytycy, wirtualni turyści, archeolodzy mediów, ikonolodzy, historycy teraźniejszości i oczywiście my – przyjaciele i rodzina artysty, pozostawiając tysiące lajków i komentarzy na zawieszonym w wirtualnej wieczności czacie. Jedno z podstawowych pytań współczesności, pytanie o to, czy śmierć jest formą otwartą czy zamknięta, pozostaje, dzięki skromności artysty i powstrzymaniu się od odwołań do zewnętrznych atrybucji naukowych, bez jednoznacznej odpowiedzi.

Grupa artystów z SF, eksperymentując z infradźwiękami, wywołała lokalne trzęsienie ziemi. Jedna osoba zginęła. Dwie pozostają zaginione. Akcja ratunkowa trwa. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że ofiara zostanie przywrócona życiu.

Czysta wizualność jest przerażająco nieludzka. Brutalnie wyrwana z innych aspektów życia, jak wielki paznokieć rzucony na środek ogromnej, aseptycznej, czystej, pustej, klimatyzowanej i monitorowanej przestrzeni wystawowej, przeraża mnie do bólu. Płat, niema forma – ubezpieczona od wszelkich wypadków. W pewnych sytuacjach wizualność, sama czysta wizualność, odrywa się tak bardzo od innych aspektów życia, przytłacza, czaruje, ogłusza, uwodzi, porywa i mami, że pozostawia nas całkowicie bezradnymi. Pojawiają się nieśmiałe pytania: dlaczego, po co? Do dziś nie umiem odpowiedzieć na pytanie, po co tak spektakularne środki stosowali kiedyś artyści. Nie rozumiałem tego wtedy, chociaż zdarzało mi się padać na kolana. Teraz zajmują się tym projektanci wnętrz i fasad oraz reżyserzy świateł w przestrzeniach publicznych. Tak, monumentalna architektura wnętrz i spektakularne projekty tapicerskie potrafią zapierać dech w piersiach. Powierzchnie demonstrują czysto wizualne, abstrakcyjne oblicza oraz władzę,

którą rzeczom, kolorom, formom, ich relacjom i rytmom oddali ludzie. Poddani tej władzy czujemy się wolni i bezpieczni.

Spędzamy czas, długie godziny albo nawet dni, w klimatyzowanych, czystych i pięknie oświetlonych przestrzeniach muzealnych. Pozbawieni lęków i alergii, przepełnieni spokojem i uczuciem transparentności. Pałamy miłością do całego ożywionego i nieożywionego wszechświata, miłością czystą, nieskrępowaną i niezaborczą. Wszyscy należymy do wszystkich i do siebie samych. I nikt od dawna nie chce zrobić nam nic złego. Żadne niebezpieczeństwo nie czai się za szklanymi ścianami i konstrukcyjnymi filarami, które podtrzymują i łączą, a nie dzielą. Nawet biuro pani dyrektor znajduje się w oszklonym pomieszczeniu, do którego każdy może zaglądnąć. Do późnych godzin nocnych widać pochyloną nad pleksiglasowym biurkiem postać emanującą jasnością umysłu i skupieniem, której profil odbija się w ogromnym weneckim zwierciadle.

W przeszłości wielu badaczy zwracało uwagę na pogłębiający się rozdźwięk między życiem codziennym, polegającym na rozpraszaniu i wielokierunkowej, chaotycznej cyrkulacji materii, energii i informacji, a koncentracją, kompresją i petryfikacją mającymi miejsce w przestrzeniach tradycyjnie rozumianych instytucji sztuki, edukacji i sprawowania władzy nad ludźmi, nie-ludźmi i znaczeniami. Muzea, archiwa, bazy danych, mediateki i inne przestrzenie inspirują dziś do myślenia o świecie jako stanie umysłu w pełnej harmonii, o zniesionej dialektyce ruchu i petryfikacji, życia i śmierci, o wolności i spowolnieniu – o ciszy, w której wciąż słychać więcej i więcej. Barbarzyński reżim krytyczny zastąpiliśmy reżimem afirmatywnym.

Kurator w tym przypadku jest gejem. Artysta chyba też, chociaż miałoby się ochotę powiedzieć, że nie ma to większego znaczenia. Model też (nie ma więk-

szego znaczenia?). Model jest nagi i biedny (było to dawno, już jest skremowany, bezdomny awanturnik z wszczepionym rozrusznikiem serca), obfotografowany w detalach i namalowany w całej swej postaci i w naturalnej skali, stoi obojętnie przodem do potencjalnego widza. Obraz, subtelnie oświetlony, emanuje melancholią i bezbronną nagością w perłowych barwach. Powstał gdzieś pod koniec antropocenu. Odnajdujemy w nim ten specyficzny dla tamtego czasu niepokój połączony z rezygnacją. Nagość figury to nagość bezbronna, nagość delikatnej, gładkiej powierzchni obrazu – obrazu bezwzględnie wystawionego na widok. Narażając się, raził oczy patologicznych tchórzy, kłamców oraz morderców półtonów i wieloznaczności, którzy przez wieki zarządzali całą planetą. Od czasu od czasu należy spojrzeć w słońce, a przynajmniej wystawić na jego promienie całe nagie, bezbronne ciało – nagie życie. Uczą tego starożytni filozofowie, od Heraklita po Bataille'a i Agambena. Mamy rok, który mamy i, oprócz dwóch słońc, niewiele mamy, a raczej mamy wszystko i poprzewracało się nam w dupach. Nasze idealne dzieci, tak podobne do siebie na pierwszy rzut oka, a jednak każde z nich doskonale inne niż jego lub jej koleżanka albo kolega, z poszerzonymi o niedostępne nam zakresy zmysłami wzroku, słuchu i propriocepcji, równym krokiem przemierzają puste, doskonale klimatyzowane sale muzealne. Oddychając głęboko, staranie omijają miejsca, gdzie ich percepcja mogłaby zostać narażona na kontakt z czymś dającym do myślenia. Patrz i nie myśl, myślenie w tym wieku może wyrządzić nieodwracalne szkody, mówią współcześni edukatorzy. Według najnowszych badań myślenie powoduje raka mózgu, bezpośrednio wpływa na starzenie się tkanek i wywołuje mnóstwo kontuzji. Poza tym nowotworzenie stanowi najbardziej skuteczny, wywrotowy sposób rozmnażania się osobników wyłamujących się z naszej doskonałej cywilizacji powszechnej akceptacji i zgody na wszystko. Zgody, która oddolnie została przyjęta wraz z wieloelementowym systemem edukacji, opieki, bezpieczeństwa i samokontroli – ku szczęściu nas i naszych coraz doskonalszych potomnych.

sobiście bardzo lubię pracować z tworzywami sztucznymi, a one, o ile wiem, ze mną.

Nie pamiętam nazwiska koreańskiego artysty, który dzięki współpracy z najbardziej zaawansowanymi laboratoriami zajmującymi się przeszczepami, hodowlą komórek macierzystych, transplantacjami, dietetyką, chirurgią plastyczną, bioprotetyką, nanoortopedią i amputacjami, w długim, analitycznym procesie zjadł sam siebie. Miałem przyjemność otrzeć się o niego na jednym ze spotkań międzykontynentalnej ligi mistrzów percepcji, w której obydwaj przez lata uczestniczyliśmy. Na pierwszy rzut oka był miłym, skromnym, bardzo skoncentrowanym na pracy człowiekiem, może odrobinę zbyt mocno skupionym na sobie. Już wtedy poruszał się w specjalnie dla niego zaprojektowanym wehikule, umożliwiającym przemieszczanie się i komunikację z otoczeniem. Jego dzieło do samego końca wymagało ogromnej pracy administracyjnej i logistycznej. Umiejętności zarządzania ludźmi, zasobami i czasem stanowiły podstawy jego warsztatu. Był w tym mistrzem. Większość instytucji współpracujących z nim nie miała i nie ma nic wspólnego z polem tradycyjnie, a nawet współcześnie rozumianej sztuki. Cóż, można by powiedzieć, że każde działanie człowieka prowadzi do tragedii.

euroart w ostatnich latach wydaje się być bardzo obiecującym kierunkiem. Kolega eksperymentuje z ośrodkami mowy i obszarami w mózgu, odpowiadającymi za dekodowanie komunikatów językowych, artykulację werbalną i poczucie rytmu. Bardzo ciekawe wydają mi się jego prace w obszarze jąkania się, seplenienia i innych wad wymowy oraz w obszarze problemów z utrzymaniem uwagi podczas złożonych wypowiedzi. Rozpad słów i zdań ma w sobie ogromną moc dramatyczną i poetycką. Ostatnio w ogóle obserwuję lawinowy rozwój komunikacji pozawerbalnej i intensyfikację prac badawczych oraz refleksji teoretycznej na ten temat. Najwyższy czas, można by rzec. Poziom wrażliwości obywateli na najmniejsze poruszenie, drżenia powiek, zmiany zapachu czy wilgotności powietrza i skóry w różnych miejscach ciała i w różnych okolicznościach osiągnął tak wyrafinowany poziom mikrotonalny, że wszyscy rozmawiamy coraz mniej, rozumiejąc się jednocześnie coraz bardziej. Czasami zamiast gadać wystarczy dokładniej, dłużej, intensywniej i spokojniej patrzeć.

Pomiędzy gablotami z arcydziełami rzemiosła z drugiej połowy dziewiętnastego wieku przed rewolucją kuratorka rozmieściła misternie skonstruowane *Wirusy* – obiekty świetlne z cząsteczek białka, nanorzeźby przypominające kompozycje z tysięcy zakrętek po wodzie mineralnej i butelek PET powiązanych ze sobą w organiczne formy trytkami. W ich świetle w pleksiglasowych gablotach mienią się wszystkimi barwami tęczy przedmioty z porcelany, szkła, kości słoniowej i szlachetnych odmian drewna oraz metali kolorowych wykonane z największą precyzją przez najbardziej renomowanych rękodzielników, projektantów i artystów tak zwanej sztuki użytkowej. Swym bezdyskusyjnym pięknem upamiętniają one najbardziej krwawy okres, w którym zjednoczone siły rasizmu, kapitalizmu i kolonializmu doprowadziły do globalnej katastrofy relacje społeczne, ekonomiczne i środowisko naturalne. Był to czas intensywnego wydobycia, produkcji oraz przetwarzania węgla, ropy, gazów, rud metali, siarki i wody w celu akumulacji, kolekcjonowania, podnoszenia prestiżu i wznoszenia coraz lepiej klimatyzowanych i chronionych budynków muzealnych przeznaczonych dla dóbr, których ich eleganccy właściciele i właścicielki nie byli w stanie pozabierać do grobów.

Eksperymenty z kontrolowaną hodowlą nowotworów we własnym organizmie były jednym z, powiedziałbym, samograjów powracających w wielu pracach dyplomowych najwrażliwszych studentek wydziałów bioartystycznych w tamtym czasie. Jedynym chyba przykładem konsekwentnej pracy z tym medium pozostają działania grupy praskich artystek, określanych może niezbyt trafnym mianem neosecesjonistek. Ważnym gestem, wyznaczającym krytyczne ramy ich poszukiwań, było oddzielenie nowotworów od żywicieli i rozmieszczanie ich hodowli w przestrzeniach publicznych. Pozornie porzucone tkanki żywiły się odpadami komunalnymi, które jeszcze w tamtym czasie były powszechnie dostępne, gdyż nie przetwarzano ich w całości na pełnowartościowy granulat.

Specjalnie się nie wylogował. Wiem o tym, jestem pewny.

Tak, mijamy się, mijamy się całe życie. Ale nie martw się. Na pewno kiedyś spotkasz jakiegoś przemiłego, mądrego i odpowiedzialnego chłopca albo dziewczynę i zakochasz się bez pamięci do końca życia. Ja już tak miałem wiele razy i to trwa we mnie, rośnie. Poszczególne miłości nakładają się na siebie, splatają, mieszają się i wzmacniają swe oddziaływanie w życiu codziennym.

Każdy, każda i każde z nas zajmuje się, że tak powiem, profesjonalnie kilkoma aktywnościami. Dzięki temu nie nudzimy się aż tak bardzo, jak by się wydawało obserwatorowi o podwyższonej pobudliwości lub o ograniczonym czasie spędzonym na ziemi. Wszyscy bez wyjątku mamy sprawiedliwie rozdystrybuowany czas, miejsca i środki dosłownie niemal na wszystko. Nazywamy to dochodem gwarantowanym. Czasami oczywiście trzeba się trochę postarać i zaangażować w pewne czynności, ale zwykle robimy to z ogromną przyjemnością. Z reguły najbardziej wymagającym zadaniem jest wyraźne sformułowanie własnych potrzeb i marzeń. Część z codziennych czynności wykonujemy tylko dla siebie i nazywamy to sztuką. Część zaś – dla innych. Wtedy naliczane są nam kredyty, które możemy zamieniać na przeróżne dobra i usługi świadczone przez inne osoby lub wyspecjalizowane instytucje. Pomimo wielu skomplikowanych zależności, wszystkie relacje bilansują się w sposób niemal doskonały. Od kiedy pamiętam, stopa przyrostu naturalnego pozostaje na stałym poziomie i wynosi dokładnie zero. Żyjemy niekompulsywnie, ciesząc się każdym dniem, a ci lub te, którzy lub które tego bardzo chcą, umierają w spokoju.

Sztuka wreszcie nie wymaga żadnych, absolutnie żadnych umiejętności i dyspozycji. Jest działalnością całkowicie rozbrojoną – *undone*, jak dawno temu, postulatywnie o krytyce pisała izraelska teoretyczka Irit Rogoff. Żyjemy w świecie, w którym wszystkie kompetencje są precyzyjnie zagospodarowane i wykonywane z doskonałą efektywnością i pełną świadomością skutków ubocznych, ku niewzruszonemu pożytkowi i szczęściu tych, którzy je wykonują i tych, którzy

z tego korzystają. Nasze społeczeństwo dorosło wreszcie do pewnego rodzaju doskonałości, w której wszystko, co robimy, robimy z szacunku i miłości do innych, a sztuką jest to, czemu oddajemy się z miłości do samych siebie.

Jedna z moich partnerek od lat zajmuje się prostytucją. Jest osobą dogłębnie wykształconą w tej dziedzinie, zarówno w wymiarze teoretycznym, jak i praktycznym. Może poszczycić się najlepszymi osiągnięciami nie tylko w skali globalnej, ale też [nieczytelne]. Uwielbiam kochać się z nią, wchodzić w nią, kiedy jest tuż po stosunku z kimś z bardzo daleka. Gorąca, teleportowana, pasteryzowana w niskiej temperaturze i oczyszczona z niebezpiecznych drobnoustrojów sperma obcych ma tak niewiarygodną konsystencję i wibracje spektralne, tak wysoką zawartość białek, feromonów i pachnie tak niesamowicie stymulująco, że retorycznym staje się pytanie, jak i dlaczego udało im się rozwinąć tak zaawansowane kultury i wciąż rozprzestrzeniać swe sensualne misje cywilizacyjne pomiędzy galaktykami. Tak, wszyscy przyjmują ich z szeroko rozłożonymi ramionami i kończynami dolnymi, między którymi u większości gatunków, pomimo różnic morfologicznych lub operacyjnych zmian na życzenie, mieszczą się najbardziej czułe sfery erogenne wraz z genitaliami. Tak, Z. przeszła już do historii. Była jedną z pierwszych prostytutek, które zdecydowały się na kontakty międzyplanetarne. Córy Koryntu, kapłanki miłości, jawnogrzesznice, przeskoczki, mewki, hetery, dziwki, lafiryndy i kurwy, jak doskonale wiemy, były zawsze w awangardzie przemian społeczno-kulturowych. Dziś wreszcie ich rola została doceniona przez kulturę głównego nurtu i stały się autorytetami w wielu dziedzinach dotyczących bezpośrednich relacji międzyludzkich i międzygatunkowych. Gwiazda Z. błyszczy pośród nich własnym, autentycznym światłem. Jest cudownie otwarta na nieznane i potrafi w delikatny sposób manewrować równowagą władzy w najtrudniejszych i najbardziej niezręcznych sytuacjach. Nigdy nie traci samokontroli ciała i umysłu. Jest wirtuozką mięśni Kegla i pieśni Dionizosa. Wspaniale operuje językiem. Oprócz napięć mięśniowych i psychicznych doskonale rozluźnia związki frazeologiczne, w których wielu z nas tkwi, bezradnie rozglądając się po otwartym i tolerancyjnym na błędy stylistyczne świecie, w którym coraz trudniej o dobrą korektę języka

potocznego. Służy, daje i bierze jednocześnie w najpiękniejszych akordach gestów, jęków i drżeń. Harmonizując przepływy sprawia, że każde spotkanie z nią to cudowne doświadczenie bliskości i wymiany kosmicznej energii. Wiem, że taka jest zarówno dla swoich prywatnych partnerów i partnerek, jak i dla partnerów i partnerek w życiu zawodowym. Jej gruntowne wykształcenie w dziedzinie teorii obrazowania, obejmowania i dotyku, antropologii i etologii istot żywych, historii miłości czy wiedzy o zmysłach nie jest w jej zawodzie niczym nadzwyczajnym. Połączenie jej talentu, urody i wrodzonej zmysłowości powoduje, że obcowanie z nią bawi, cieszy, uczy, inspiruje i daje niewypowiedzianą rozkosz. Z. umie mówić i słuchać. Nigdy nawet cień złości, agresji czy zazdrości nie pojawia się na jej pięknej, pełnej mądrości i szlachetności twarzy. Jej wagina zawsze jest doskonale wilgotna i otwarta na nowe przygody. Miłość, czułość, radość i zaangażowanie, z jakimi Z. wykonuje wszystkie czynności seksualne, a także sposób, w jaki prowadzi rozmowę, stymuluje wyobraźnię, bawi się paradoksami psychofizycznymi i wypracowaną przez lata oryginalną, niemal psychoterapeutyczną taktyką, są niewyobrażalne i wzruszające. Nie wiem, jak ona to robi, ale od lat pozostaje wciąż w tym samym wieku, a nawet dyskretnie młodnieje. Ponoć stosuje zabiegi i dalekie podróże w czasie i w kierunku przeciwnym do kierunku obrotu sfer niebieskich. Jest wciąż w doskonałej kondycji psychofizycznej. Jej uroda i święta dobroć przyćmiewa młodsze koleżanki i kolegów z branży. Tak, współczesna biochemia czyni cuda. Poleciłem ostatnio jej usługi moim dzieciom i wnukom i wszyscy są nią zachwyceni.

Na fali przemian i znoszenia fundamentalnych napięć dialektycznych sztuczne granice między cyberprostytucją a prostytucją analogową dawno uległy zatarciu. Nie warto już nawet wspominać o podtrzymywanym przez patriarchalne relacje władzy negatywnym, stygmatyzującym i upokarzającym opiniowaniu tych praktyk w czasach przedrewolucyjnych. Po zmianie paradygmatów fundujących cywilizację zauważono, że takie zawody jak programistka, prostytutka, sekretarka czy kasjerka, oczyszczone z niewolniczych zależności ekonomicznych i społecznych, stręczycielstwa, mobbingu i przymusu pracy, stały się polem niezwykle odkrywczych praktyk dotyczących samorozwoju i wrażliwości współczesnej

jednostki. Poetyckość w sensie etymologicznym i holistycznym, pozbawione zahamowań, tabuizacji, wyparcia i reakcji kompulsywnych podejście do siebie samej/samego i do relacji międzyludzkich rozkwitają najlepiej w środowiskach biur i agencji. Najwrażliwsi i najciekawsi poeci od lat wywodzą się z pracowników przemysłu IT, agencji towarzyskich, analitycznych i innych.

[...] bo nie rozumiem, czym się różni sprzedawanie lodów za małe kredyty i robienie lodów za duże? Jeśli nie towarzyszy temu przemoc i stręczycielstwo, jak to było przed rewolucją, a dane czynności wykonywane są z miłością i radością przez osoby, które to lubią i mają ogromne potrzeby w tym zakresie, w tym potrzebę nowości i zmiany, to nie ma powodu do stygmatyzacji. Nikt nikomu nie robi nic złego. Miłość fizyczna to też miłość. Może jest to jedyny realny, niewirtualny rodzaj miłości. Przemoc i relacje władzy były w przeszłości zmorą całego rynku pracy najemnej i należało z tym walczyć w całej rozciągłości, co z największą konsekwencją czynili na przykład anarchosyndykaliści i zaangażowani społecznie artyści partycypacyjni i relacyjni z terenów Mazowsza i Wielkopolski. Jednak dopiero dzięki potęgującej się mądrości nas wszystkich udało się doprowadzić do radykalnych zmian. Hm, może to tak zwana ewolucja nas uratowała? Każdy i każda z nas robi to, co chce, nikt się do tego nie wpierdala, jak kiedyś, z jakimiś moralizatorskimi uwagami, za którymi stały upodlające daną osobę lub aktywność narracje władzy, bojącej się wszelkich potencjałów wywrotowych i krytycznych.

Tak, moim ulubionym słowem od lat jest słowo „tak".

Czekam na zamówioną biokawę z moich ukochanych, maleńkich plantacji rozlokowanych na południowo-wschodnich stokach wzgórz Antioquii.

Dziewczyna wynosi z kawiarni okrągłe stoliki i rozstawia je w ogródku. Dookoła stołów ustawia rozkładane krzesła. Stoliki są ciężkie. Wnioskuję to z grymasu jej twarzy. Gdy podnosi kolejny z nich, uśmiech na chwilę zastępuje wyraz bólu. Sytuacja, w której ona nosi, a ja siedzę i przyglądam się, jak ona nosi, ma bez wątpienia znamiona relacji władzy, ale ufam, że dziewczyna kocha tę pracę, robi to, co lubi, robi to dla siebie, dla mnie i dla innych. Kiedy nasz wzrok spotyka się, uśmiechamy się do siebie niezwykle promiennie i szczerze. Na moje zadane później pytanie o stoliki, odpowie, że och, to drobiazg, traktuje to jak poranną gimnastykę, którą wykonuje z ogromną przyjemnością. Prawie wszyscy robimy to, co kochamy, towarzyszy nam śpiew ptaków. Cieszymy się, że udało nam się dożyć czasów, w których niemal wszystkie problemy międzygatunkowe, obywatelskie, płciowe, rasowe, pracownicze i ekologiczne zostały rozwiązane.

Spotkaliśmy się jeszcze kilka razy. Zawsze niemal w całkowitym milczeniu, w pełnym świetle, zwykle w jakimś białym, pustym, klimatyzowanym, idealnie czystym i dużym pomieszczeniu. Są takie miejsca, w których nikt nigdy nie ma i nie miał myśli erotycznych. Kiedyś powiedziała mi, że kocha, kocha pustynię. Postanowiliśmy zawiesić wszelkie wzajemne roszczenia. Jest to odrobinę gorzkie. Zważywszy jednak na fakt, że wszystko, co gorzkie, pobudza soki żołądkowe i poprawia pracę wątroby oraz woreczka żółciowego, decyzja ta powinna pozytywnie wpłynąć na nasze zdrowie i kondycję fizyczną. Staram się też dużo płakać.

Komplektologia, czyli praktyka i teoria obejmowania, zajmuje się obejmowaniem przestrzeni i bytów – mapowaniem, kartografią lokalną, planetarną i kosmiczną, tworzeniem map dynamicznych i psychomap, obejmowaniem zmysłami, wyobraźnią i zasięgiem, a także zakresami nadawania i odbioru, telepatią, tworzeniem komunikatów i badaniem ich zasięgu. Komplektologia psychofizyczna pracuje z obejmowaniem rozumianym bezpośrednio – obejmowaniem ramionami, dotykiem inwazyjnym i nieinwazyjnym, obejmowaniem wzrokiem, optyką, fizjoterapią

i psychoterapią eksperymentalną połączoną z refleksją dotyczącą czułości na dotyk, materiałów czułych, pamięci kształtu, światłoczułości i wrażliwości na zgniatanie i inne [...]

Performance zatytułowany *Powstaniec* polega na utrzymywaniu penisa w stanie wzwodu przez około osiem godzin bez przerwy. Osiem godzin to tak zwany standardowy dzień pracy w tradycyjnym, przedrewolucyjnym systemie pracy najemnej. Artysta i wykonawca w jednej osobie przechadza się bardzo powoli, w gestach jest oniryczny, często przystaje w jasno oświetlonej, neutralnej przestrzeni galerii. Praca bywa przywoływana przez krytyków jako klasyczne działanie łączące tradycyjnie rozumiane techniki pracy z żywym, niemodyfikowanym genetycznie, rozbrojonym ciałem wystawionym na bolesne kontakty ze spiętrzeniami dyskursów, archetypów kulturowych i z pozornie scalonymi znakami. Osadzenie w najlepszych postmodernistycznych tradycjach – cielesności, ulokowaniu figury w realnej przestrzeni sceny i pracy z gospodarką hormonalną – artysta splata z filozoficznym kłączem pojęć i zagadnień konstruujących metafory współczesnej instytucji budującej swój etos na kategoriach zawieszenia i podtrzymywania, na wieloznacznej dialektyce napięć pomiędzy wertykalnością i horyzontalnością. Praca otwiera nieeksplorowane wcześniej rejony pustki. Wystudiowana, niemal akademicka naiwność i sensualna prostota spotyka się z odwołaniami do starożytnych, mistycznych tradycji animistycznych. Fantazmat, *fun* (zabawa), fascynacja, falliczność, faszyzm, apolliński stoicyzm i dionizyjska zwierzęcość igrają ze sobą drżąc wraz z napiętym prąciem artysty skierowanym wyzywająco, niczym mikrofon kierunkowy, w stronę widzów. Pojawia się pytanie, jak długo może trwać to szczęście. Niektórzy obawiają się, że cała ta cywilizacja może załamać się pod własnym ciężarem, ale wydaje mi się, że są to płoche obawy krytykantów o wyobraźni wykastrowanej antyfantazmatycznymi terapiami. Szczególną cechą naszej kultury jest bowiem ażurowość, transparentność, elastyczność, lekkość, inkluzywność i rozbrojenie. Można by rzec, że jej konstrukcja nośna zbudowana jest na literze prawa z bardzo nowoczesnych idei i lekkich materiałów syntetycznych, doskonale przezroczystych pochodnych białek, krystalicznych nanozwierciadeł

i powszechnej woli dobra. Bo nie ma nic bardziej abstrakcyjnego niż litery. Gładkie i starannie wymodelowane powierzchnie przeglądają się w sobie, a potencjalni wrogowie w miejscu potencjalnego oporu napotykają otwartość, miłość i zaproszenie do uczestnictwa w naszej cywilizacyjnej przygodzie.

Nawet najbardziej prymitywni katolicy zrozumieli w końcu, że obecność obcych w pejzażu ekonomicznym, mimo chwilowych trudności, wpłynie znacząco na poprawę warunków ich życia w przyszłości. Obcy, klony i kolorowi wykonują mnóstwo społecznie i ekonomicznie pożądanych czynności. Pomimo faktu, iż sto procent odpadów przetwarzamy na surowce i pełnowartościowy granulat, na wysypiskach śmieci stale pracują tłumy poszukiwaczy, archeologów, konwerterów i wykonawców *backupów* wszelkich ras i gatunków pochodzących niemal z całego wszechświata. Bez nich nasza aseptyczna rzeczywistość byłaby całkowicie biała z elementami transparentnymi i zwierciadlanymi.

– Spotykasz się w realu? – zapytała.

– Tak, spotykam – odpisałem, muskając ekran, na którym osadzały się ciepłe kropelki pary z mojego oddechu. – Całe moje życie składa się ze spotkań. Od pewnego czasu nigdzie nie mieszkam. Nigdzie nie jestem zakorzeniony ani zadomowiony, poruszam się po powierzchni świata od spotkania do spotkania…

Szczęśliwi neokonceptualiści zrobili niesamowitą karierę w przemyśle kognitywnym, logistyce i *public relations.* Posługując się coraz bardziej wyrafinowanymi technikami, wykorzystującymi wzbudzający potężne zaufanie idiom uważności połączony z poetycką niepewnością i ostrożnością w tworzeniu wyrazistych znaczeń, żonglowali aparaturą z różnych epok, odwołując się do krytycznych taktyk deziluzji przekazów medialnych. Wysoko sobie cenię ich wkład w kulturę

wszechświata. Osobiście jednak jestem przeciwnikiem praktyk krytycznych. Po latach ciężkich walk przeszedłem całkowicie na jasną stronę afirmacji. Na sercu leży mi dobro. Jestem całkowicie spełniony. Nie ma chyba nic gorszego.

Miałem pięć albo sześć automatów *slowfood*. Zdrowa żywność od wielu dziesięcioleci cieszy się niesłabnącą popularnością. Dzięki technologiom molekularnym i eksperymentom z czasem kwantowym udało się niezwykle skutecznie usprawnić produkcję najbardziej wykwintnych potraw. Automaty z holografami napojów i żywności, zbudowane na bazie mikroskopijnych białych karłów z plazmy węglowo-tlenowej, generują najwyższej jakości pożywienie o składach precyzyjnie komponowanych zgodnie z bieżącymi potrzebami składającego zamówienie organizmu. Wyrastają one ostatnio w mojej najbliższej okolicy jak niegdysiejsze grzyby po deszczu.

Jeden z moich byłych partnerów od kilku miesięcy trwa w milczeniu. Jest to rodzaj diety.

Centralnie umieszczono sześcian z luster pokrywających jego wszystkie ściany wewnątrz i na zewnątrz. Obok stoi rotunda, której ściana otaczająca podłogę, podłoga i sufit wyłożone są powierzchniami lustrzanymi o niemal stuprocentowym współczynniku odbicia światła. Dalej – kula, a raczej sfera wyłożona wewnątrz i na zewnątrz zwierciadlaną powierzchnią. Wiele takich obiektów porozmieszczano w różnych miejscach. Wszystko odbija się we wszystkim i od wszystkiego. Miłość i nienawiść całego świata znoszą się w doskonałej obojętności.

Czasami wydaje mi się, że wszyscy, ale to dosłownie wszyscy są szczęśliwi, tylko ja mam jakieś powracające wątpliwości i ataki melancholii, z których podobno już dawno zostałem wyleczony i zaszczepiony na wszelkie toksyczne fantazmaty. Jestem i zawsze byłem bardzo słaby, może dawniej był to nawet jakiś rodzaj siły, dzięki której nie zostałem zmiażdżony. W chwilach ataków dokonywałem uników i przewartościowań. Niektórzy nazywali to tchórzostwem. Dziś jestem gwiazdą, autorytetem i wirtuozem nadwrażliwości. Nieraz cierpiałem z tego powodu, wyłem z bólu, płakałem, uświadamiając sobie, jak bardzo jestem zaplątany w setki malutkich, cieniutkich i mocnych niteczek uwikłań, jak bardzo daję się manipulować inteligentnemu, tak, powiedzmy: półinteligentnemu i cwanemu szefowi, który myśli, że jestem taki głupi i dlatego daję się wpuszczać, a ja się daję wpuszczać nie dlatego, że jestem głupi, ale dlatego, że co mam kurwa zrobić, ciekawe, co ty byś zrobił na moim miejscu. I tej cynicznej dziwce, z którą jestem już tyle lat, kocham ją, wybaczam jej wszystko, dosłownie wszystko, a ona znowu wbija mi noże w plecy i wysysa krew z tętnicy szyjnej, krzywdzi mnie, śmieje się, grzebie mi w komunikatorach, uśmiecha czule, mówi, że mnie kocha i prosi o więcej, a potem znowu i znowu. I tak całe życie w stanie pełnego zrozumienia wszystkiego i dla wszystkich z sercem na dłoni. Otoczony przez tych, którzy próbują, chcą coś uchwycić i nawet chwilami im się to udaje, którzy albo które jak wampiry spijają ze mnie to, co z trudem wypracowałem, wyrywają mi z nerek złoto, które się tam przez lata odkłada i dekorują sobie nim piersi i długie, różowe języki. Wygląda to niejednokrotnie bardzo pięknie i przekonywająco. Wzruszam się, podziwiam ich i cierpię. Szarpię się dalej, a oni mnie czasem biją nagiego po całym ciele, a czasem łaskoczą i głaszczą. Chwilami nawet sprawia mi to, nie ukrywam, pewną przyjemność. A potem odchodzą albo ja uciekam na czterech łapach, bo już nie mogę wytrzymać, nie wierzę, że jest to dłużej możliwe do wytrzymania. Wtedy przychodzą młodsi i robią to samo, tyle że boli już trochę mniej, a tamci wracają po paru latach i mówią, że byłem dla nich bardzo ważny, że mi dziękują za to wszystko i przepraszają. I wtedy znowu boli bardziej. Jak ja was wszystkich wtedy nienawidzę. Nie wiem, co odpowiadać na to „przepraszam". Też ich wtedy przepraszam. Nie wiem, co ty byś odpowiedziała, na pewno znalazłabyś jakąś zajebistą ripostę. Mam całą kolekcję dokumentacji audiowizualnych z tych przeprosin. Pokazuję ją czasem wnukom, niech wiedzą.

Niech pamiętają. O, oklaski. Tak, podczas oklasków mam chwilę, by odpocząć. Tak, przeprosiny przytłaczają mnie, bolą, napawają żalem i tłumioną wściekłością. A przynajmniej tak było, zanim stałem się niemal nieśmiertelny. Teraz jest dużo łatwiej. I, pomimo że lekarze nakazali mi jak najczęściej unosić się gniewem i wpadać w ataki furii, odczuwam coraz większą obojętność i od jakiegoś czasu myślę, że mam was wszystkich głęboko w dupie.

Konsumpcja? Wybacz, już od dawna nie konsumujemy. My się delektujemy światem. I światłem. Przetwarzamy wszystkie odpady. Marzymy coraz subtelniej, dotykamy nieśmiało, patrzymy uważniej, jemy coraz mniej i coraz ostrożniej. Robimy sobie nawzajem pyszne, małe i elegancko podane porcje ekologicznej żywności. Przystrajamy je świeżymi ziołami i podajemy z uśmiechem. Bezkarna i rozpasana konsumpcja ukryła się w obszarze kultury. I na terenach rezerwatów. Muzea festiwali i kognitywne fabryki przyjemności produkują serotoninę na skalę przemysłową, która następnie pakowana jest w ergonomiczne pojemniczki i dystrybuowana zgodnie z potrzebami przy dźwiękach charakterystycznej muzyki. Czasem tylko nachodzi nas potrzeba, by podzielić się z kimś poczuciem czegoś, co kiedyś nazywaliśmy niemocą, rezygnacją i rozgoryczeniem, mimo że doskonale wiemy, iż, obiektywnie rzecz biorąc, nie mamy żadnych, ale to absolutnie żadnych racjonalnych powodów, by odczuwać te archaiczne stany.

Naukowcy doskonale wiedzą, które obszary mapy hormonalnej organizmu odpowiadają za tę specyficzną dla naszej cywilizacji powściągliwość. Dzięki niej przyglądanie się jest tak samo intensywnym doświadczeniem, jak inne, bardziej dynamiczne formy aktywności w sferze społecznej. Nie mamy wątpliwości, że wszystko układa się w harmonijną całość. Ufamy w pełni w obraz świata. Być może nie jest to nawet kwestia hormonów, ale bardzo precyzyjnie opracowanej dla całej otaczającej nas rzeczywistości identyfikacji audiowizualnej.

Zanieczyszczenie symboliczne świata tuż przed rewolucją było podobno większe niż zanieczyszczenie chemiczne.

Staram się regularnie pracować dla innych. Nie ukrywam, że mnie, wychowanemu w innych realiach, tego typu praca sprawia mnóstwo dziecięcej radości. Chętnie pomagam, chociaż mam coraz mniej ku temu okazji. Świetnie skonstruowany i od lat działający bez zarzutu system wzajemnej pomocy wraz ze skomplikowanym algorytmem rozliczeń i gratyfikacji roboczogodzin stanowią jeden z wygodniejszych wynalazków naszej epoki. Na początku sporo komplikacji sprawiało oddzielenie pracy od zabawy, zwłaszcza w przypadkach, gdy relacje zawodowe mieszały się z prywatnymi. Wczesne wersje systemu rejestrującego myliły niektóre gesty. Należało utrzymywać poważny wyraz twarzy, gdyż każdy uśmiech odczytywany był jako wyraz radości i błędnie interpretowany przez sensory jako przejście z porządku pracy do porządku zabawy. Wiązało się to z brakiem naliczania minut pracy i trwało tak długo, jak długo osoba pracująca uśmiechała się. Zdarzało się mnóstwo zabawnych, a czasem przykrych nieporozumień. Obecnie udoskonalone wersje systemu działają niemal bezbłędnie i tego typu kłopoty należą do przeszłości.

Praca dla innych czyni mnie absolutnie wolnym i nie jest to jakiś przedrewolucyjny, dwuznaczny slogan. Dwuznaczności od dawna, od kiedy niemal wszystko jest jasne, są prawie całkowicie zbędne, a na pewno bardzo pretensjonalne. Oczywiście mam trochę odłożonych kredytów, gdyby coś niespodziewanego się wydarzyło, ale niespodzianek zdarza się ostatnio tak mało i wszystko jest tak cudownie przewidywalne, że bez żadnych rozterek mogę się oddawać temu, co w danym czasie pociąga mnie najbardziej.

W czasach, kiedy wszyscy jesteśmy w pewnym sensie odrobinę samotni, kontrola (*controlling*, con-trolling, etymologicznie: wychodzenie naprzeciw złu) jako złożony system ochrony i dbałości o nasze życie, zdrowie i bezpieczeństwo stanowi paradoksalny i oryginalny obszar generujący nowe, systemowe formy troski i zinstytucjonalizowanej, krystalicznie czystej przyjaźni, miłości, tęsknoty czy bieżącego myślenia o innych. Media coraz częściej donoszą o algorytmach tracących dystans i przywiązujących się czy wręcz zakochujących w osobach, którym są przydzielone. To samo dotyczy użytkowników i użytkowniczek. Nic w tym dziwnego. Trwająca od lat dynamiczna relacja z czasem staje się nieobojętna. Dla wielu z nas, zanurzonych w ciszy, spokoju i wygodach dnia codziennego, własny, precyzyjnie sprofilowany system bezpieczeństwa, zaopatrzony w generator mowy o aksamitnym głosie staje się jedynym przyjacielem. Co innego filozoficzne podstawy systemu – empatia, miłość i otwartość, co innego bieżące życie w pełnej harmonii z niemal całym wszechświatem. Obojętniejemy na siebie. Bez wrogów przyjaciele stają się dla siebie obcy. To smutne, ale tak jest. Spełnienie marzeń o pełnej inkluzywności ma, jak się okazuje, swoją gorzką cenę, którą spłacamy w długie, samotne i spokojne noce.

[...] Na tle tego wszystkiego, pomimo zmieniającego się pejzażu możliwości, jak nigdy dotychczas pozostajemy niezmiennie i uroczo niezdecydowani i nieokreśleni. Nasze niezdecydowanie i nieokreślenie jest nawet pełniejsze, rozleglejsze niż w przeszłości, kiedy każda radość, smutek, rozkosz czy poczucie zagubienia podszyte były czarnym, miękkim i aksamitnym futrem śmierci.

Równowaga społeczna – zrównoważony podział władzy, czyli równowładza – to model zarządzania, według którego zbudowany jest cały nasz system relacji społecznych. Dzięki niej bardzo łatwo osiągnęliśmy parytet płciowy, gatunkowy oraz zrównanie wartości wszystkich środków płatności bezpośredniej i odroczonej. W obszarze relacji międzyludzkich jest to medium horyzontalnego,

partnerskiego spotkania – mityczno-erotycznej pełni, z której od lat słynie nasza planeta wśród międzygalaktycznych eksploratorów seksualności. Nasza wspaniała kultura bywa nazywana metastoicyzmem ze względu na pietyzm, z jakim podchodzimy do wzwodu, stanów uniesienia i statystyk. Momenty równowładzy to chwile największej kosmicznej stabilności, podczas których odbywamy najbardziej pełne i satysfakcjonujące spotkania z naszymi partnerami i partnerkami. Prawdopodobieństwo absolutnego spełnienia jest niemal stuprocentowe. Skuteczność niewyobrażalna. Dzięki badaniom i analizom danych prowadzonych na bieżąco wiemy, kiedy najlepiej to robić. Takie spotkanie powinno trwać nie dłużej niż trzy, cztery dni. Przedłużanie może powodować rozwój toksycznych fantazmatów, groźnych nie tylko dla danej pary czy grupy osób, ale także dla otoczenia. Radykalni racjonaliści mieli nawet zapędy, by zakazać spotkań dłuższych niż tydzień, ale na szczęście ten pomysł nie przyjął się, gdyż wszelkie zakazy są bardzo nieufnie traktowane przez naszą społeczność. Poza tym ryzyko zakażenia jest i tak zbyt duże, by ktokolwiek z nas miał ochotę na dłuższe spotkania, nie mówiąc już o mieszkaniu z kimś na stałe.

Ze wstydem muszę przyznać, że jak do tej pory, pomimo szerokiego spektrum nowych możliwości, wciąż rozmnażam się tylko płciowo. Nie ukrywam, z rozkoszą spróbowałbym też innych metod, takich jak klonowanie, pączkowanie, podział czy tradycyjne zabiegi *in vitro* połączone z improwizacjami genetycznymi przeprowadzanymi w niektórych najbardziej radykalnych rezerwatach o profilu postapokaliptycznym. Zawsze kiedy patrzę na bogactwo natury przez pryzmat mętnej wiedzy o osiągnięciach współczesnej biotechnologii, wszelkie zagadnienia związane z fenomenem reprodukcji, ewolucji i konwersji formatów powracają na mój intelektualny pulpit nabrzmiałą falą podniecającego entuzjazmu zawirusowanego ziarenkami niepokoju i wątpliwości. Wątpliwości dotyczą kwestii, czy zdobędę się na odwagę, by poddać się zabiegom przywracającym nieśmiertelność i czy rzeczywiście będę tego chciał.

Tak, bez wątpienia najwięcej epistemologicznych kłopotów sprawia nam wszechogarniająca nuda, która od dawna nie jest już podszyta żadnym niepokojem czy, tak zwanymi przed laty, lękami egzystencjalnymi. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że spore nakłady pochodzące ze środków publicznych przeznaczane są na pracę, zabawę i walkę z nudą jako zjawiskiem, kategorią i atrybutem kulturowym. Nasza współczesna nuda jest krystalicznie czysta i jednorodna w swej transparentnej strukturze, prawie nieszkodliwa i w pewnym sensie szlachetna i dobra dla zdrowia psychofizycznego. Według wielu interpretatorów powinna być traktowana jako niepodważalna wartość, środowisko i medium, a nawet warunek konieczny naszej wrażliwej, czułej i pełnej spokojnego zapatrzenia obecności wobec piękniejącego na naszych oczach obrazu świata. Możliwe, że patrzę na to z odrobinę przebrzmiałej perspektywy i nie do końca umiem w pełni cieszyć się i delektować danym nam wszystkim, bez wyjątku wszystkim, pełnym i niczym niezmąconym spokojem. W rzeczywistości pewnego rodzaju próżni, gdzie dzięki wnikliwej analizie prowadzonej przez dziesiątki lat w transdyscyplinarnych chmurach zniesiono wiele dialektycznych napięć, nuda stała się złożonym, wieloaspektowym i niezwykle subtelnym wyzwaniem. Fundamentalnym tłem i kontekstem paraliżującym chęć wprowadzania uproszczonych rozwiązań jest, rzecz jasna, powszechnie przyjęta niechęć do wszelkich form spektaklu, iluzji, kłamstwa, uwodzenia, opresji i radykalnych cięć nagminnie stosowanych przed rewolucją. Te odurzające i pociągające dla niektórych autorów systemowych rozwiązań techniki, z perspektywy nauk ścisłych i transhumanistycznych nie wymagają nawet analiz i komentarzy. Wystarczy odwołać się do kanonu przedrewolucyjnych klasyków, których imionami nazwane są dziś szkoły, ulice, muzea, mediateki i inne kompleksy kreacyjne i rekreacyjne na całym świecie. Z ich nauczaniem dzieci zapoznają się od najmłodszych lat. Przewidzieli niemal wszystko. Moim skromnym zdaniem, wynikającym po części z lenistwa, w które powoli coraz bardziej popadam, nuda nie jest niczym złym. Nie ma chyba powodu, by z nią walczyć. Nuda jest naszą powszechną kondycją, jak w dwudziestym i dwudziestym pierwszym wieku przed rewolucją były melancholia i lęk.

Czuję się cudownie, wszystko mnie boli i nabawiłem się mnóstwa urazów. Nie pamiętam, co się działo przez ostatnie kilka dni i nocy. To, co kiedyś zapewniały wojny, polowania na czarownice, gry komputerowe czy międzygatunkowy seks, zwłaszcza w formie grupowych orgii, teraz zapewnia uczestnictwo w realnych seansach niekontrolowanej przemocy psychofizycznej i symbolicznej. Prze-moc to magiczne słowo przyciągające wielu chętnych. W końcu w całej tej rewolucji nie chodziło o pozbycie się władzy, ale o jej szeroką dystrybucję; nie o bezwład, ale o wielo-władzę, o władzę i moc decydowania o sobie i o innych dla każdego i każdej. Od czasu do czasu podchodzimy do tego literalnie i wprost. Oczywiście, dzięki skomplikowanym i połączonym ze sobą systemom monitoringu, ubezpieczeń, anestezjologii i chirurgii zabiegowej prawie wszyscy wychodzą z tych ekscesów cali, zdrowi, a przynajmniej mniej lub bardziej żywi i szczęśliwi. Chociaż nie jestem pewny, czy tym razem, po prawie trzech klasycznych dobach zmagań, nie obyło się bez bezpowrotnych zgonów. Muszę sprawdzić, kto jest zalogowany. Jedna z moich córek tuż przed rewolucją zginęła w spektakularny sposób w wypadku motocyklowym. Noszę w sobie jedną z jej kości, lekko, niemal niezauważalnie utykając. Lubię to utykanie, przypomina mi o niej. Wyścigi motocyklowe po drogach publicznych były dla niej równie głupim doświadczeniem cielesnym, jak seanse przemocy, które organizujemy współcześnie w gronie zaufanych i znienawidzonych partnerów i partnerek. Przekraczając wszelkie granice dobrego smaku i tolerancji na ból, raczymy się najbardziej rubasznymi i niesmacznymi żartami. Podczas najbardziej krwawych ekscesów dochodzi do poruszających aktów transgresji, po których oddajemy się długim procesom rekonwalescencji psychofizycznej. Wszystko, co dzieje się w obozach, pozostaje wspólną tajemnicą uczestników i uczestniczek poszczególnych seansów i nigdy nie opuszcza lokalnych archiwów. Mam bez wątpienia połamane żebra, rozdartą siatkówkę w lewym oku, stłuczone biodro, pogryzione jaja i pocięte przedramię. Najważniejsze jest jednak to, że udało mi się przynajmniej kilka razy w ciągu tych trzech dni przełamać zniechęcenie i obojętność. Ból jest nie do zniesienia, kocham go. Z lepkiej mgły wspomnień wyłaniają się obrazy spoconych i śmierdzących ciał. Smak krwi, spermy i kału wciąż tli się na podniebieniu. Oczywiście, wszyscy przed udziałem w seansie okazujemy sobie wzajem oraz moderatorom aktualne badania lekarskie. Ufamy sobie, czujemy się bezpiecznie

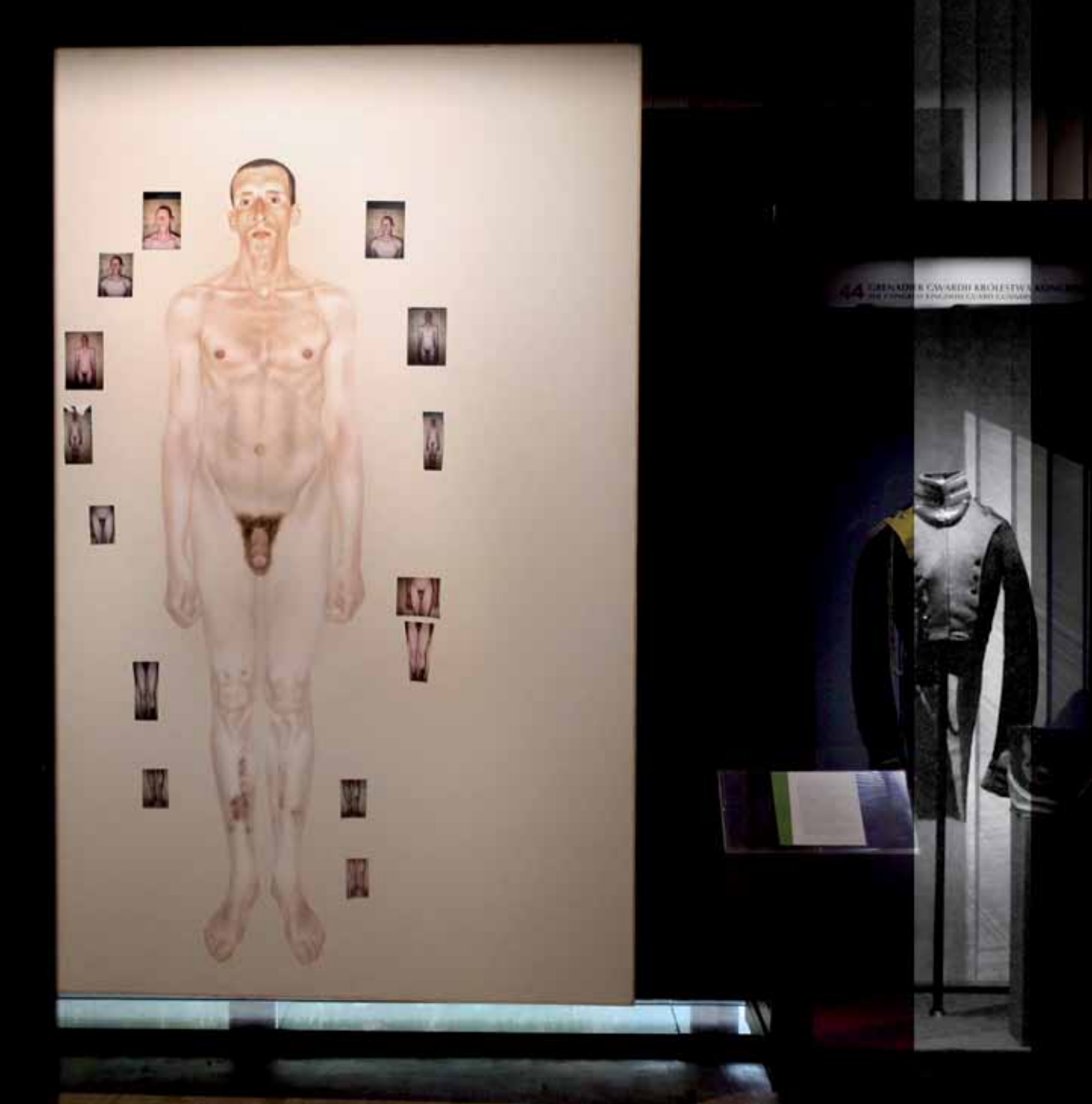
44

i pewnie, przez chwilę czujemy się w sobie pewnie... Bardzo lubię długie spacery, pływanie przez wiele godzin w oceanicznych zatokach oraz taniec towarzyski. Cenię sobie wszelkie formy sublimacji niskich energii. Jednak czasem człowiek potrzebuje odrobiny prostoty, bezwstydnej, sensualnej bezpośredniości i zwyczajnie musi się wyżyć. Bo czymże jest niema, głucha nienawiść w świecie, w którym śmierć niemal już nie istnieje? Czym jest zaangażowanie wobec wieczności? Ostatecznie znów chodzi o rozkosz, przyjemność i szczęście osobiste, bez którego szczęście ludzi i innych obywateli i obywatelek wszechświata nie jest możliwe. Szczęście, na które najprawdopodobniej wszyscy bez wyjątku jesteśmy skazani, i czasem trudno jest nam w tej słodkiej lekkości trwać odpowiedzialnie i bezczynnie.

Obywatele i obywatelki różnych gatunków i ras chętne do zbliżeń rozpoznajemy po charakterystycznej sygnalizacji świetlnej oraz impulsach mikrotonowych wysyłanych do otoczenia.

Pewne odmiany dwulicowości i zmultiplikowanej tożsamości stają się jednak w ostatnich latach coraz bardziej popularne. Modne, rzekłbym, używając dawno przebrzmiałego określenia. Ludzie są zmęczeni poprawnością, otwartością i techniczną łatwością wchodzenia i wychodzenia z relacji, do których są, można rzec, w pewnym sensie systemowo przymuszani, a na pewno nieustanie kuszeni mnóstwem możliwości opartych na silnych fundamentach etycznych. Dzięki nowoczesnym technikom chirurgii plastycznej i praktykom parateatralnym niektórzy ludzie niemal żonglują twarzami, wizerunkami i tożsamościami. Czasem powoduje to spore zamieszanie w nich samych i w ich bliższym lub dalszym otoczeniu, ale jest to zazwyczaj niezwykle odświeżające dla bieżących relacji i życia osobistego. Często prowadzi to do bardzo komicznych zdarzeń. Są też tacy, którzy lub które eksperymentują z tradycyjną, monogamiczną rodziną. Jest to jednak tak daleko posunięta i obrzydliwa perwersja, że wśród moich znajomych nie ma chyba nikogo, kto by się o te mroczne subkultury ocierał.

Kultura PRZEPISÓW – przepisy (drogowe, kulinarne...) przepisywanie – SKRYBA, bezmyślne reprodukowanie wzorców. Wzory, PATTERN – paternalizacja – silna rama/wzór zachowań, ojciec, reprodukowanie, powtarzalność, poprawność, normalność, NORMA (LNOŚĆ) – NORM (sprawdzić etymologię!!!). *bez-wład, bez-myśl – wakacje → ty masz rację i ja mam rację ← rozwinąć albo porzucić w chmurze, by inni rozwijali, zasiać. Przemyśleć zanieczyszczenia informatyczne...*

Immunologia przybrała rozmiary dawnych religii. Życie wieczne odbywa się tu i teraz.

Po burzy wszyscy mieszkańcy dzielnicy z uśmiechem na ustach, społecznie i chętnie sprzątają ulice, place i podwórka wokół swych miejsc zamieszkania. Zbierają połamane gałęzie i porozsypywane śmieci, sprzątają błoto, wypadłe z gniazd zdechłe ptaki, szczury i inne zanieczyszczenia. Strażacy w pięknie zaprojektowanych i wygodnych uniformach pomagają w czynnościach wymagających więcej doświadczenia albo specjalistycznego wyszkolenia lub sprzętu. Po pracy wszyscy wspólnie bawią się, piknikują, tańczą i flirtują do późnych godzin nocnych na okolicznych trawnikach. Przysiadają na krawężnikach, wdając się w długie przyjacielskie rozmowy. Raz po raz słychać wybuchy nieskrępowanego śmiechu. Wszyscy chętnie dzielą się z innymi tym, co wiedzą, czują, widzą i myślą, a jeszcze chętniej słuchają opowieści innych.

Obraz od spektaklu różni się zasadniczo. Spektakl usadzał widzów w biernej i statycznej pozycji konsumentów rytuałów odprawianych na ołtarzach przedrewolucyjnej cywilizacji. Obraz uruchamia odbiorcę i zaprasza do podróży. Ale nie o tym chciałem opowiadać. Chciałem opowiadać o zapachach, o tym, że od pewnego czasu pachnę sobą, a raczej niemal nie pachnę. Wszyscy pachniemy

sobą i nie ukrywamy się za żadnymi toksycznymi aromatami produkowanymi w przeszłości. W muzeum marginaliów, szumów i aromatów studiowałem niedawno analizy estralne mydeł zapachowych i innych tak zwanych kosmetyków. Dziś oczywiście nikt nie odważyłby się tego wąchać ani wcierać w ciało, ale jeszcze niespełna sto pięćdziesiąt lat temu biali ludzie tonęli w tych aromatach, a ich ubrania prano w zabójczych mieszankach chemicznych, powodujących mnóstwo bezpośrednich i pośrednich zagrożeń dla ciał, środowiska i bioróżnorodności świata organicznego. Parawany i bańki zapachowe były szczególnie nadużywane w tak zwanych wyścigach szczurów.

Kochanie, wiem, że już co nieco wiesz o tym, co nas ze sobą łączy, mimo że nigdy dotąd się nie spotkaliśmy. Widziałem Cię na wielu materiałach audiowizualnych i nieruchomych obrazach z Waszego domowego archiwum. Tak, Twój tatuś związał się niedawno węzłem małżeńskim na czas określony z moją największa miłością życia, z którą pozostawałem w otwartym związku przez ostatnie kilka lat i chyba nasza relacja wciąż trwa. Można rzec, że byliśmy i jesteśmy razem bardzo szczęśliwi, jedynie to „my" znaczy teraz coś odrobinę innego. Czas nam wszystko dokładnie pokaże. Oczywiście, Tobie, osobie wykształconej w nowych czasach, przyjęcie tych faktów nie sprawia żadnego problemu, a ciekawość związana z poznaniem nowej bliskiej osoby niewątpliwie podnieca twe zmysły i staje się wartością samą w sobie. Im więcej mamy cioć i bliskich przyjaciół w wieku dorastania, tym lepiej, jak już dawno stwierdzili badacze i badaczki. Moje przez lata kształtowane otwartość i miłość do całego świata przeżywają drobne turbulencje, ale bez wątpienia poradzę sobie z nimi wkrótce tak, jak to już wielokrotnie bywało. Moja miłość i nienawiść aktualnie bilansuje się w formie doskonałej obojętności. Nic mną nie miota i nie szarpie, spokój usypia moje zmysły, które jeszcze niedawno tętniły pełnią dzikiego życia, co bardzo negatywnie odbijało się na moim zdrowiu. Już niedługo, jestem pewien, wraz z Tobą, Twoją mamą i z Nimi będę nieskrępowanie cieszył się Ich miłością. Obiecałem Im to, a ja zawsze dotrzymuję słowa. Bo nie ma nic piękniejszego na świecie ponad widok szczęśliwej i spełnionej pary lub większej liczby osób. Piszę do Ciebie,

bo chciałbym Ci zadeklarować wsparcie, gdybyś go kiedykolwiek potrzebowała. Niedługo wejdziesz w wiek zintensyfikowanych poszukiwań psychotopograficznych. Mam dostęp, doświadczenie i złote odznaki przewodnika w wielu potencjalnie interesujących Cię obszarach. Dowiedziałem się dużo o Twoich zainteresowaniach od Twojego tatusia, a także z Twojego profilu publicznego. Mogę też służyć Ci jakimiś organami do transplantacji, jeśli Ty lub Twoja mamusia będziecie czegoś potrzebować. Żyj odważnie, niczego się nie bój, ciesz się życiem – świat Cię kocha! Ostatecznie wszystko jest ruchomym reliefem, w którym każde z nas, prędzej czy później, znajdzie swoje miejsce.

Kiedyś byłam inna. Łatwo się denerwowałam, a sam ten fakt denerwował mnie jeszcze bardziej.

Myślenie zawsze było trudne. Trudna i zawstydzająca jest konfrontacja z własnymi ograniczeniami i koleinami mentalnymi, w których poruszamy się bezwiednie, reprodukując memetyczne schematy. Najtrudniejsze jest konfrontowanie się z prawdą o danej sytuacji wyzierającą zazwyczaj spoza intencji, opinii i komentarzy, którymi lubimy ją opatrywać i zasłaniać, kiedy wydaje nam się, że myślimy. Poza tym trudno czasem przyznać się przed samym sobą i przed innymi do swoich dążeń i pragnień. Zawsze tak było. Zwłaszcza do tych głupich i nieracjonalnych, które, paradoksalnie, najbardziej otwierają nas na poznawanie nieznanego – czyli na myślenie. Realne, nieiluzoryczne myślenie wymaga zatem zgłupienia, nie-myślenia. Wymaga czasem czegoś odwrotnego, niż robimy zazwyczaj, gdy wydaje nam się, że myślimy – odsłonięcia przed sobą bezradności i bezmyślności, a nie przysłaniania ich jakimiś mętnymi wywodami. Myślenie zmienia świat, a zmian bardziej się boimy, niż dążymy do nich. Dlatego zwykle częściej udajemy przed sobą i innymi, że myślimy, niż myślimy naprawdę. Boimy się zmian i odpowiedzialności za czyny, które wynikając z ewentualnego myślenia, zmiany powodują. Boimy się krwi. Łatwiej nie myśleć i ewentualnie przepraszać za to, co się bezmyślnie robi. Doskonale to rozumiem

i polecam studentkom i studentom. Nikt z nas przecież nie ma złych intencji. Nie myślcie za dużo, życie wcale nie musi być trudne. Nie powinno być trudne! Jest przecież niemal doskonałe. Zmiany nie są nam do niczego potrzebne, a na pewno nie do szczęścia! Walczyliśmy o lepszy, łatwiejszy do życia świat. Cieszmy się więc nim, życiem, sobą i innymi i myślmy coraz mniej.

Wstałem rano, zjadłem kawałek bogatego w proteiny surowego mięsa, popiłem wiejskim kwaśnym mlekiem prosto z dystrybutora. Staram się żyć w prosty sposób i cieszyć się prostymi przyjemnościami. Zdigitalizowałem wszystkie papierowe książki i czasopisma, dzięki czemu w moim lofcie jest wreszcie dużo miejsca i światła. Nie ma kurzu, a ja przestałem odczuwać charakterystyczne dla alergii swędzenie w nosie i pieczenie oczu. Jest czysto, pyły nie mają na czym osiadać. Mogę chodzić po mieszkaniu bez powłoki. Nowe publikacje papierowe i winylowe od razu przepuszczam przez dygitalizer, skaner obrazów ruchomych i nieruchomych oraz syntezatory mowy. Większe druki lakieruję lub oprawiam i przenoszę do archiwum. Konwertowanie od lat zlecam na zewnątrz. Wyciąganie wniosków interesuje mnie wciąż, chociaż już coraz mniej. Nie interesują mnie na pewno analityczne techniki z dwudziestego pierwszego wieku przed rewolucją, zbudowane na dwudziestowiecznych, brutalnych, inwazyjnych i opresyjnych metodologiach. Chcę już tylko patrzeć na to, co jest, widzieć to takim, jakim jest – z całym pomieszaniem porządków i z drobnymi mikronieadekwatnościami, których resztki wciąż jeszcze można odkryć na powierzchniach naszych coraz precyzyjniej projektowanych i coraz bardziej aseptycznych pejzaży. Wstaję późno i trochę sprzątam. Wycieram nienagannie gładkie, starannie wymodelowane powierzchnie albo zapraszam przyjaciół i przyjaciółki i razem pucujemy mniej lub bardziej matowe czy lustrzane obszary. Czasem, po tylu transplantacjach i przeszczepach, nie jestem do końca pewny, czy ja to wciąż ja.

Wyszedłem z domu, spotkaliśmy się w parku. Powiedziałem jej tylko, że wychodzę. A. i tak może łatwo sprawdzić, gdzie jestem, ale tego od dawna nie robi. Kiedyś grzebała mi we wszystkich komunikatorach, teraz jest zajęta swoimi sprawami. Nie zauważyła nawet, kiedy wyszedłem, a kiedy zauważyła, podobno trochę było jej przykro, tak mówiła później, ale też się trochę cieszyła, bo, mówiła, było już takie napięcie w powietrzu, że cała od tego kurwa napięcia drżałam. Nie jadła wtedy trzy dni, schudła. Ty też schudłaś, jak było? To dobrze, cieszę się, że odpoczęłaś, trochę się chyba opaliłaś i wyskoczyły ci piegi na nosie. Strasznie się cieszę, że cię widzę, strasznie za tobą tęskniłem. A co u A.? Dobrze, pracuje. Praktycznie całymi dniami i nocami nie ma jej w domu, wraca bardzo późno, nad ranem, myje się długo, a potem siada i pracuje jeszcze jakiś czas... Właściwie prowadzimy równoległe życia, niewiele nas już łączy, ale tak jest dobrze, każde z nas rozwija się autonomicznie, szczególnie ona tego potrzebuje. Mieszkanie tak blisko siebie to dziś i tak niemal szczyt perwersji i opresji. Ja? Wiesz co, chwilami czuję, że mam dość wszystkiego... Jedynym intelektualnym wyzwaniem pozostaje dla mnie jakiś ładny i mądry pomysł na śmierć na własne życzenie – godnie i kulturalnie. Jednak nic oryginalnego nie przychodzi mi do głowy. Przeglądam katalogi i wszystko wydaje mi się takie banalne. Nie mam już nikomu nic więcej do powiedzenia i do pokazania, sam przeżyłem i widziałem już chyba wszystko. Pamiętam czasy, kiedy A. była strasznie zaborcza, nie do zniesienia, dochodziło do rękoczynów. A teraz sam już nie wiem, czy nie lepsze było to toksyczne zaangażowanie niż mdła obojętność i otwartość, w której tkwimy obecnie od lat, w zawieszeniu, jak w pustce i tak jakby całkowicie poza czasem. Poza spełnieniem i niespełnieniem.

Wyszedłem i poddałem się biegowi zdarzeń. Niemal nic się nie dzieje. Wolnym krokiem przemierzam dzielnicę pełną magazynów z hormonami. Miejsca te można łatwo poznać po charakterystycznym szumie. Jest ładnie, chłodno i czysto, jak codziennie, jak wszędzie. Według informacji medialnych nikt nikomu nie zrobił dziś nic złego. Wracając, uzupełniłem zapasy aromatycznego, wysokobiałkowego pożywienia.

Hodowla komórek mózgowych odbywała się do niedawna na skalę niemal przemysłową. Na szczęście opamiętano się i dziś jedynie małe przydomowe laboratoria i w pełni odpowiedzialne stowarzyszenia osób fizycznych kontynuują te eksperymenty. Największym problemem zawsze pozostaje to, do czego dana hodowla ma być podłączona. Jednak ostatnio coraz łatwiej o ochotników lub ochotniczki.

Tak, niewątpliwie, coraz wolniej bije, jak śpiewano niegdyś, tętno tego miasta. I, powiedziałbym, bardzo dobrze. Kiedyś było to jedno z najciaśniejszych miejsc w tej części globu. Żyję już niemal dwieście neolat w tych przestrzeniach o ponadtysiącletniej historii, meandrującej jak światłowody z różnych epok, prowizorycznie ze sobą połączone. Jakoś to wszystko, mimo wszystko, nie wiadomo już jak, dzięki wsparciu unijnemu, ciągle działa, a nawet coraz lepiej funkcjonuje, mimo że cała ta unia globalna już dawno przestała mieć dla kogokolwiek jakiekolwiek znaczenie. Stała się transparentna, jak cały system władzy i zarządzania naszym szczęściem. Chodzi mi o to, że nie myśli się o tym na co dzień. W ogóle coraz mniej się myśli, bo po prostu nie trzeba. Myślenie zawsze wynikało ze strachu. Mniej myśl, tańcz, kochaj, uprawiaj sporty indywidualne i grupowe, patrz, dużo patrz i słuchaj uważnie – radzi współczesna medycyna kognitywna. I ja, jako laik, ale laik z ogromnym doświadczeniem, całkowicie się z tym zgadzam. W ogóle zgadzam się – nazwałbym to metazgodą – na bardzo wiele. Wierz mi lub nie – nie walczę, zbieram naklejki. No może czasem, rekreacyjnie, uprawiamy z przyjaciółmi jakieś śmiertelnie niebezpieczne sporty, ale nie jest to żadna prawdziwa wojna ideologiczna. Po co? Nie ma po co. Pytania o cel stawiamy sobie coraz rzadziej, a odpowiedzi na nie nie słyszałem już co najmniej od kilkudziesięciu obrotów.

Nie lubię rozmawiać, zdecydowanie bardziej wolę patrzeć. Nie lubię pisać, wolę na niego albo na nią patrzeć i go albo ją dotykać i, na przykład, całować. Płeć i gatunek nie są tu tak istotne, jak by się wydawało. Wiek i gładkość błony

pokrywającej danego osobnika już bardziej. Ważne jest spotkanie. Kamienie żyją. Oddychają bardzo powoli. Światło i powietrze przenikają przez nie. Czasami trwa to wiele tysięcy lat i pozostawia niemal niezauważalne ślady. Przy dzisiejszej technologii wszystko jest możliwe. Wewnątrz ogromnych głazów naukowcy odkryli niedawno kolonie samotnie żyjących drobnoustrojów i złoża najbogatszej w minerały, najstarszej, najlepszej i najdroższej na świecie soli.

W pewnym momencie życia byłem już tak rozluźniony, że miałem problem z utrzymaniem wyprostowanej pozycji ciała i trzymaniem ekstrementów, które nie raz – zarówno mocz, jak i kał – wypuszczałem niedyskretnie w miejscach publicznych, podczas roboczych albo towarzyskich spotkań lub tańcząc.

Mój najstarszy syn studiował historię zmysłów. Teraz od lat zajmuje się głównie przyjmowaniem konkretnej, czasem bardzo wymagającej pozycji ciała i trwaniem w niej przez wiele godzin, a nawet dni, w zależności od założeń i warunków brzegowych. Wszystkie podejmowane przez niego procesy są bardzo precyzyjnie modelowane, a wyniki analizowane przy współpracy z ekspertami z różnych, czasami bardzo egzotycznych dla mnie dziedzin. Nie do końca rozumiem, w którą stronę zmierzają te eksperymenty, ale oczywiście bardzo szanuję jego poszukiwania. Wcześniej przez wiele lat prowadził na jednym z rzadziej odwiedzanych księżyców małą jadłodajnię z bardzo starannie przygotowywanymi posiłkami molekularnymi dla różnych organizmów. Część potraw zamawiało się z kilkudniowym wyprzedzeniem po to, by niewielka grupa pasjonatów mogła dobrać odpowiednie składniki i bez pośpiechu połączyć je ze sobą w odpowiednich warunkach, kolejności i czasie potrzebnym, by połączenie stworzyło niepowtarzalny bukiet smaków, zapachów i rzeźbiarskich form. Kocham jego czułość, wrażliwość, miłość do tego, za co się zabiera, i do istot, z którymi obcuje. Restauracja działa z resztą do tej pory. B. przekazał ją jednemu ze swych najukochańszych partnerów, który nie tylko starannie utrzymuje poziom i klasę tego miejsca, ale też wnosi

w nie rodzaj charakterystycznej dla siebie zuchwałości i polotu ocierającego się czasami o brawurę przy niektórych bardziej oryginalnych potrawach czy sposobach ich podawania. Bywam tam, obserwuję i uczę się od nich.

Muszę przyznać, że mój wzrok nie jest skierowany w przyszłość, jak oczekiwałyby tego instancje zarządzające dobrami i dbające o nasz spokój, bezpieczeństwo i dostęp do wszystkiego, dawniej nazywane rządem. Trochę zbyt mocno rozglądam się we wszystkie strony i namawiam do tego swoje dzieci i wnuki. Nie jest to bynajmniej zakazane. Niemal nic nie jest zakazane. Wiadomo od dawna, że zakazywanie nie jest produktywne. Prawdopodobnie z powodu mojego tradycyjnego wykształcenia i melancholijnego temperamentu skazuję się na dryfowanie po szerokim marginesie współczesnej kultury, łudząc się niekiedy, że przebiega on szerokim i nierównym pasem przez sam jej środek. Oczywiście z przyjemnością przeszedłem jeszcze raz cały proces edukacji. Starych drzew się kiedyś nie przesadzało. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Zdałem pozytywnie wszystkie testy i mogę cieszyć się pełnym dostępem do wszelkich zasobów materialnych i niematerialnych współczesnego wszechświata. Mogę swobodnie przechodzić przez ściany czasu i renderować sobie, co tylko zechcę. Moim kłopotliwym atutem pozostaje długowieczność, na którą zdecydowałem się już dosyć dawno, a ostatnio kolejny raz odnowiłem kontrakt. Cóż, jestem człowiekiem dwóch, a nawet trzech epok. Widzę i rozumiem może zbyt wiele.

Nie mam już przyjaciół. Zostałem sam i jest mi z tym bardzo dobrze. Odczuwam długo poszukiwany spokój. Kiedyś bardzo tęskniłem. Dojmująca tęsknota – niezależnie od stanów pojawiających się chwilowo – nie opuszczała mnie nigdy W tle wszystkiego, co robiłem, mówiłem i o czym myślałem, buczała czysta, esencjonalna, oderwana od konkretnych adresatów czy adresatek, wyciskająca łzy z oczu, dławiąca i głucha tęsknota. Od kilku lat nie odzywam się do nikogo, ale milczenie to spowija spokój. Dużo ćwiczę. Mam usta pełne ziemi.

Najbardziej bałem się śmierci. I przerażał mnie upływ czasu, o którym na co dzień przypominały mi daty wydania wciąż nieprzeczytanych, papierowych książek branych od czasu do czasu w dłonie i znów odkładanych, katalogów wystaw czy własny coraz bogatszy dorobek wraz z jego chronologią przyspieszającą z każdym kolejnym dziesięcioleciem. Wszyscy moi przyjaciele i przyjaciółki odczuwali dokładnie to samo i oprócz tego odczucia nic nas nie łączyło. Jedynie w sobotnie wieczory umieliśmy się kompulsywnie zatracić do tego stopnia, że na chwilę zapominaliśmy o naszym cierpieniu. Och, były to w pewnym bardzo określonym sensie cudowne lata. Jednak tak ogólnie – nie ma co ukrywać – to raczej najsmutniejsza i najbardziej wstydliwa epoka w długiej historii tej zmęczonej planety oraz wyżywających się na niej i na sobie wzajem ludzi.

Niej więcej w momencie, gdy okres studiów rozciągnięto na całe dorosłe życie obywatelskie i odkąd wszyscy studenci i studentki uczą się w trybie indywidualnym, zrezygnowaliśmy całkowicie z podziału na dyscypliny naukowe i artystyczne. Komponowane przez lata zestawy projektów, badań i starannie wybieranych kursów układają się w mozaikę pozwalającą określić i nazwać pola poszczególnych poszukiwań. Przyjemność poznawcza stała się kategorią nadrzędną i wiodącą nas ku wiedzy, samowiedzy, odpowiedzialności za świat i wrażliwości wobec siebie i innych.

Narrator jest moim, autora, synem, albo jeszcze lepiej – wnukiem. Narratorem jest bot. Przez większą część opowieści jest płci żeńskiej, później przechodzi transformację i przybiera postać metroseksualnego mężczyzny o miłej, wzbudzającej przyjemne skojarzenia aparycji, całkowicie pozbawionego śladów zarostu. Z czasem narratorem staje się mózg narratora, który, uwolniony od obowiązków zarządzania funkcjami życiowymi organizmu, cały swój potencjał obliczeniowy poświęca analizom zgromadzonych danych, tworzeniu znaczeń i snuciu narracji. Narratorem jest technologia sama w sobie. Strumień sensów generuje się

automatycznie w oparciu o wybrane zestawy parametrów wejścia, algorytmicznie przekształcających podsunięte do obróbki dane. Trzeba dać, by dostać. Destylat kapie i jest stale poddawany testom, badaniom i degustacjom. Panna Technologia wróciła do domu nad ranem, sama, zmęczona, jałowa, całkowicie spłukana, odarta ze złudzeń i wyprana z halucynacji. Leżąc, mozolnie reperuje sieci neuronowe.

Jedną z najmodniejszych obecnie atrakcji turystycznych są podróże do śmierci. Technologia i nasza wiedza na ten temat wciąż ewoluują i nikt nie jest do końca pewien, czy jest to całkowita śmierć mózgu, czy może jej symulacja. Faktem jest, że można doświadczyć całkowitego braku doświadczenia siebie, braku jakichkolwiek funkcji życiowych poszczególnych organów, zatrzymania akcji serca, utraty krążenia i pełnego schłodzenia organizmu na określony czas. Najpełniejszy relaks. Oczywiście próbowałem. Sama śmierć nigdy mnie nie przerażała. Jedyne, co mnie przeraża, to jej nieodwracalność i nieskończoność – nieskończoność bezwzględna. Śmierć jako jedyna otwarta forma jest całkowicie czarna, monumentalna, statyczna, nudna i cynicznie przemawiająca przeciwko tradycyjnym ideom formy otwartej, które wciąż wydają mi się ważne i potencjalnie pociągające. Wycieczkę do śmierci wykupili mi w prezencie przyjaciele. Miły prezent. Bardzo przyjemne doznanie braku jakichkolwiek doznań. W stanie emocjonalnym, w jakim się teraz znajduję, był to niewątpliwie szczyt wyrafinowanej rozrywki, jakiej mógłbym poszukiwać, jeśli w ogóle jeszcze miałbym ochotę czegokolwiek poszukiwać, zwłaszcza rozrywki. Widziałem i przeżyłem już chyba wszystko, i nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć, zdziwić czy poruszyć. Od ponad roku pozostaję całkowicie niewzruszony. Prawie się nie ruszam, nie wychodzę. Jak z każdą podróżą, istnieją przypadki, że ktoś nie wrócił. Zazwyczaj dzieje się tak z winy biura podróży i zawsze zawodnych urządzeń technologicznych, ale statystyki są coraz lepsze. Ja w każdym razie wróciłem. Nie mówię, że to dobrze albo źle. I polecam [...].

Testem świeżo po wymianie gałek. Oczywiście odświeżyło to moje spojrzenie na świat, ale nie na tyle, bym mógł powiedzieć, że widzę teraz wyraźnie coś, czego wcześniej nie dostrzegałem wcale. Lubię podczas spaceru usiąść wygodnie, wyjąć oczy, włożyć je do miękkiego, klimatyzowanego pojemnika o odpowiedniej wilgotności i trwać jakiś czas w czarnym bezruchu. Czekam, aż ktoś zaproponuje mi odprowadzenie do domu lub w jakieś inne, ciekawe, nieznane mi miejsce.

Myślę, że powoli nadchodzi czas, bym zaczął sprzątać i przenosić w chmury wybory plików z intymnego archiwum wraz z kodami i skanami kluczy. Ludziom młodym ułatwi to dostęp i zrozumienie tego, skąd przyszliśmy, a tym, którzy dzięki medycynie generatywnej i molekularnej wracają do żywych, uprzyjemni spędzanie długich samotnych wieczorów. Wśród podobnych do mnie osób przeglądających zasoby znajdę jeszcze jakiś nowych przyjaciół i przyjaciółki, z którymi pojadę na ostatnie romantyczne wczasy *all-inclusive* albo chociaż skomunikuję się na różne wirtualne lub sensualne sposoby. O ile jeszcze będzie mi się chciało z kimś komunikować. Niespodziewane spotkania, wypożyczanie dzieł z muzeów i samotne spacery, podczas których uśmiecham się do obcych ludzi, stanowią od dawna moje ulubione zajęcia.

Tak, kocham pustkę, jedyne, co naprawdę głęboko kocham, to cisza, pustka i samotność. Potrzebowałem kilkuset lat, by sformułować tę prostą myśl. Jest to miłość całkowicie bezinteresowna i bezgraniczna. Niczego nie chcę ani od ciszy, ani od pustki, ani od samotności. Jedynie, by były, by było jej, ich jak najwięcej wokół mnie i we mnie. Chcę stawać się nimi bardziej i bardziej, aż pewnego dnia lub nocy zniknę, rozpłynę się w powietrzu, w wodzie albo w ziemi utożsamiając się z nimi ostatecznie. Może do tego czasu to jedno trafne i pojemne słowo, określające trzy wymienione powyżej parametry niczego odnajdzie mnie i dokonamy wspólnie leksykalnego wkładu w globalny generator języka pisanego, fonicznego, wizualnego, abstrakcyjnego, pomocniczego, wysyłanego, zawieszonego, potocznego i polisemicznego.

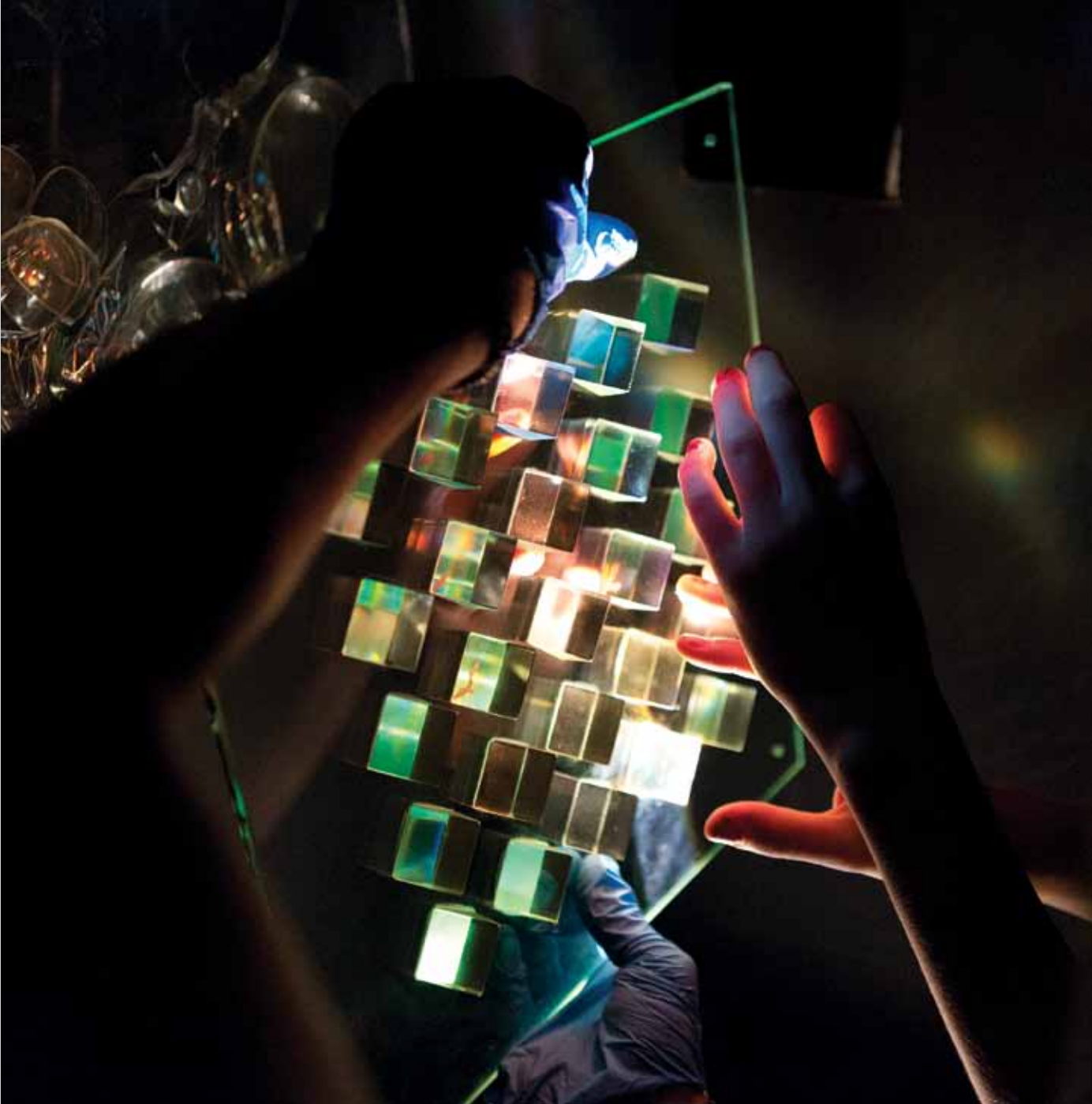

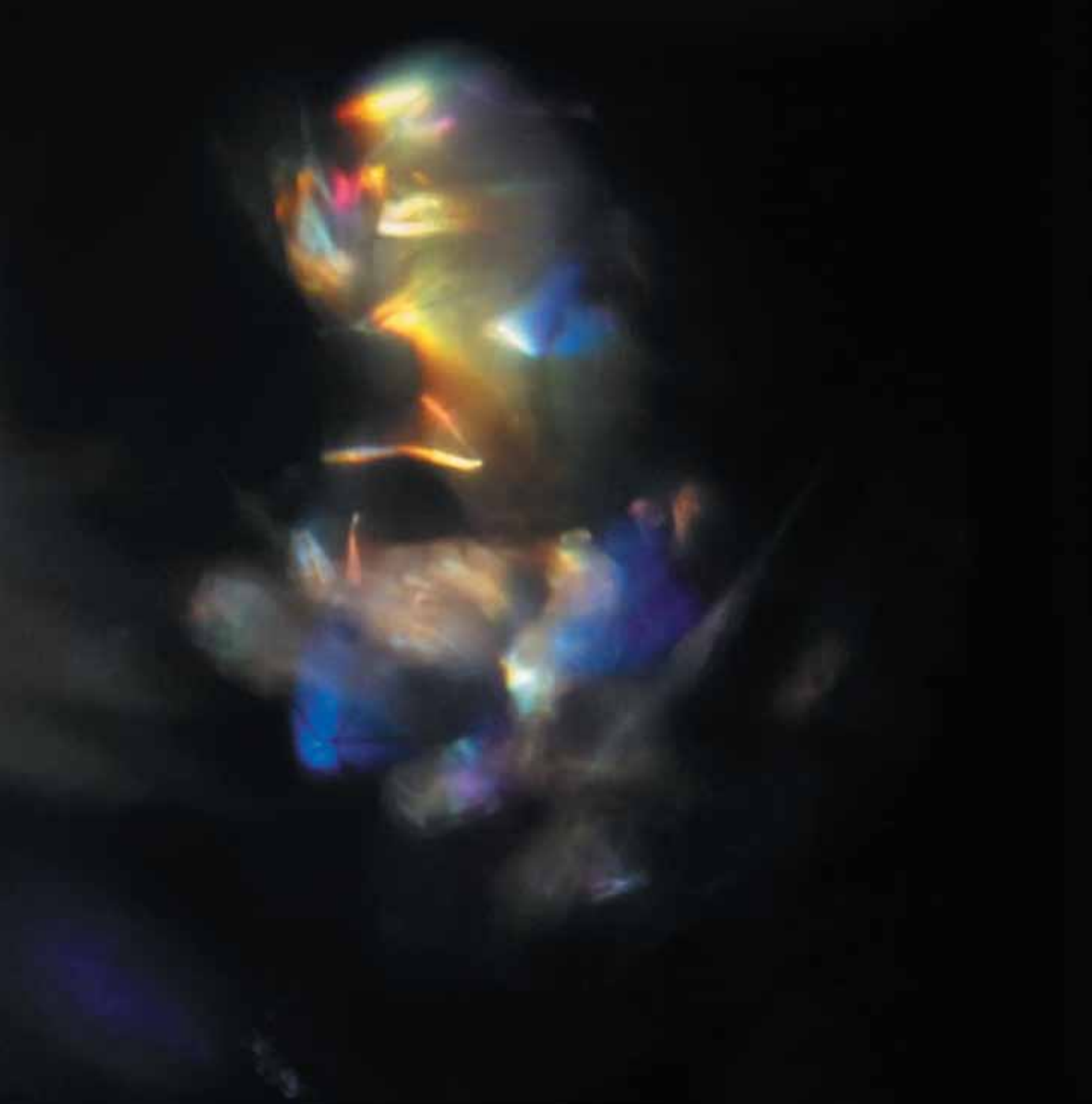

Procesy zamiast procesorów, produkcje zamiast produktów, pamięć zamiast pamiętników.

Udało nam się, na poziomie relacji międzyludzkich i na poziomie cywilizacyjnym, dotrzeć do pokładów czystego dobra, nieuwikłanego w żadne ideologie, religie czy partykularne interesy. Przeciętny ziemianin zawsze jest pozytywny, nie wzbudza w sobie i w innych negatywnych emocji. Dobro przenika nas wszystkich i cała rzeczywistość jest nim przesycona. Zło pozamykaliśmy w strzeżonych, ekskluzywnych rezerwatach.

Co najmniej dwie elegancko ubrane osoby wraz z narratorem wykopują w twardej, lekko wilgotnej, porosłej zieloną trawą ziemi podłużny dół o wymiarach dwieście na sześćdziesiąt centymetrów, głęboki na około metr pięćdziesiąt. W trakcie kopania milczą. Jeden z pomocników co jakiś czas fotografuje całe zdarzenie z różnych pozycji i sprawdza jakość rejestracji ciągłej. Następnie narrator kładzie się w przygotowanej wcześniej skrzyni ze sklejki i przezroczystego pleksiglasu. Pomocnicy zamykają wieko, umieszczają skrzynię w dole i zakopują narratora wraz z aparatem rejestrującym, zgodnie z technicznymi zasadami tradycyjnego pochówku w stylu europejskim z drugiej połowy drugiego tysiąclecia przed rewolucją. Muszą być co najmniej trzy osoby, trzy pozycje. „My” zaczyna się od trzech. Dwa, dwoje to para, relacja bilateralna ja–ty – patologia transakcji, rywalizacji, walki, antagonizmu, lustrzanego odbicia, zamknięcia i resentymentu. Uproszczenie, na którym zbudowano cywilizację kłamstwa, zazdrości i fałszywych relacji, wobec których kulawą antytezą była miłość rozumiana jako zawłaszczanie drugiej osoby, a jedyną ucieczkę stanowiła mroczna i grząska droga neurotycznej samotności. Świat jest wielością, jest wielowymiarowy i wielobarwny. Dopiero życie w wielopoziomowych i wielokierunkowych relacjach pozwala każdej i każdemu z nas rozkwitać bujnie we wszystkie strony. Nie jest przypadkiem, że w ikonografii historycznej „trzy” to figura boska, nadludzka. Święty trójkąt

był niedostępny ludziom słabym, głupim, egoistycznym i zbyt tchórzliwym na to, by w nim aktywnie żyć i rozwijać siebie, partnerów i partnerki. Najprostsze relacje bilateralne i system zero-jedynkowy sprawiały nam wystarczająco dużo kłopotów. Zarządzanie nim i nadzorowanie pochłaniało przez setki lat wszystkie zasoby wody i energii, którą cywilizacja była w stanie produkować dzięki paliwom kopalnym, pokładom odnawialnym i dzięki coraz mniej radosnej zabawie coraz bardziej osowiałych dzieci porozmieszczanych na tysiącach placów zabaw-elektrowni w pięknie ogrodzonych parkach i nowoczesnych, pastelowych osiedlach całego świata.

Konserwatyści mają żal. Mówią: odebrano nam śmierć, ostatnią niepodważalną i nienaruszalną kategorię, do której odnosiliśmy nasze bieżące i te najbardziej fundamentalne doświadczenia wraz z modlitwami i decyzjami życiowymi. Może mają trochę racji. Mówią: odebrano nam śmierć, ostatnią niepodważalną i nienaruszalną kategorię. Nie, nie kategorię – realność, jedyną prawdziwą realność w tym syntetycznym i bezdusznym świecie skonstruowanym z epistemologicznych symboli. Protestują, odwołując się do natury i dobrego smaku. Podobno pielęgnują włosy, a podczas stosunków płciowych są całkowicie nadzy, nie używają żadnych nanokombinezonów i błon hydrożelowych. Dla mnie, mimo że naprawdę wiele już widziałem, jest to odrobinę obrzydliwe i bardzo ryzykowne.

Ostatnie zdanie narrator napisał w doskonałej samotności, w doskonałych ciemnościach, doskonale czarnym kolorem na doskonale czarnym tle, bezpośrednio w nigdy wcześniej nieużywanych klastrach pamięci wewnętrznej. Zlecił zdalnie ostatni *backup*, wypluł gumę, odłączył się od centralnego systemu uwierzytelniania i wyłączył awaryjne zasilanie, wziął ostatni głęboki wdech, zamknął oczy i, przepełniony spokojem i poczuciem spełnienia, z delikatnym uśmiechem na ustach umarł na jakiś bliżej nieokreślony, ale raczej dłuższy niż krótszy, czas.

rzepraszam za niezrealizowane romanse. Od jakiegoś czasu mam wrażenie, że dookoła, w powietrzu, jest już tak dużo miłości, że nie muszę się w to wszystko tak bardzo jak dawniej angażować. Wyłączenie niektórych funkcji zajmie jeszcze trochę czasu, ale zapewniam, że już od dawna nie musisz się mnie obawiać.

o dłuższym czasie z ciała narratora, w którego żołądku spoczywało mnóstwo różnych nasion, zaczynają wyrastać białe, różowe, kremowe i szare kłącza. Wyrosną we wszystkich kierunkach, a z czasem rozrosną się na ogromnym obszarze. Oplotą korzenie wielu roślin, fundamenty budynków, autostrad, wiaduktów i mostów oraz podziemne zabudowania bunkrów, kopalnie najcenniejszych kruszców, serwerownie i najbardziej strzeżone archiwa, a także kości przodków i szkielety wciąż nieodkrytych organizmów kopalnych.

obrze. Już ci nic nie powiem.

rzemyśleć albo poprosić kogoś, by przemyślał: *stand-by, slow-motion* – pieśni przeciw logice petryfikacji.

rawie nic [...]. Rodzą się niewiadome.

DOMINIK KURYŁEK

TKANKA WIZUALNA

001 Roman Dziadkiewicz, *Piksel nieba,* dokumentacja projektu *Reflektorem w mrok*, Galeria f.a.i.t 22.05.2015. ***Reflektorem w mrok*** **stanowiło najbardziej laboratoryjną część projektu** ***prom/ieni\otwórczość. twoje oczy są ciekawsze od słońca*****. Dziadkiewicz, jako kurator i reżyser, skomponował wystawę-środowisko dla całonocnego spotkania ludzi, przedmiotów i zdarzeń. Wzięła w niej udział także praca Łukasza Skąpskiego** ***Bez tytułu*** **z cyklu** ***Fotografie nieba*** **(2006). Błękit nieba to bezpośrednie nawiązanie do filozofii Georges'a Bataille'a.** **002** *Test Amslera* **służący do badania czynności plamki żółtej. Przy zmianach obrzękowych lub uszkodzeniach siatkówki powstają nieprawidłowości obrazu w postaci mroczków lub zniekształceń.** **015** Roman Dziadkiewicz, *Wpatrywanie się w oczy Jadwigi Maziarskiej,* ośmiogodzinne działanie, MNK 01.09. 2015. **016** Roman Dziadkiewicz, *Wpatrywanie się w oczy Jadwigi Maziarskiej*, ośmiogodzinne działanie, MNK 01.09 2015. **Była to pierwsza z serii interwencji Dziadkiewicza w Muzeum Narodowym w Krakowie w ramach projektu** ***Powierzchniologia*****. Podczas działania artysta spędził cały roboczy dzień – osiem godzin – wpatrując się w kolaż Maziarskiej (bez tytułu, 1960, wł. prywatna).** **029** Roman Dziadkiewicz, *Spacer z Jerzym Rosołowiczem*, przestrzeń publiczna 04.09.2015. **030** Roman Dziadkiewicz, *Spacer z Jerzym Rosołowiczem*, przestrzeń publiczna 04.09.2015. **Drugim działaniem w ramach projektu** ***Powierzchniologia*** **był całodniowy spacer z pracą Jerzego Rosołowicza (*Neutronikon*-P24, szkło, 1970, wł. MNK) po parkach i ulicach Krakowa. Zaprojektowany zgodnie z zasadami** ***Świadomego Działania Neutralnego*** **obiekt został wykorzystany jako ekran i pryzmat, przez który artysta patrzył na świat.** **043** Roman Dziadkiewicz / Wojtek Ratajczak, *Zbliżenie chleba*, notatka fotograficzna. **044** Mira Marcinów, *Laktacja (mleko matki na lustrzanej powierzchni)*, notatka fotograficzna. **Dwie realizacje z serii prób, notatek i zbiorów ikonograficznych do** ***Powierzchniologii*****.** ***Laktacja*** **przywołuje bezpośrednio epizody Miry z kolektywnego działania** ***Powierzchniologia (krajobraz ze scenami idyllicznymi)*****, MNK 14.10.2015.** **057** Józef Pankiewicz, *Krajobraz prowansalski ze scenami idyllicznymi* (fragment), olej na płótnie, 1911, wł. MNK. **14 października 2015 roku w ramach** *Powierzchiologii* **w Galerii Sztuki Polskiej XX wieku odbyło się ośmiogodzinne działanie kolektywne –** ***ensamble*** **ludzi i nie-ludzi. Bohaterem i uczestnikiem spotkania był między innymi obraz Józefa Pankiewicza, inspirujący do działań i oglądany pod różnym kątem.** **058** Joanna Bednarczyk, *Malina*, dokumentacja projektu *Reflektorem w mrok*, Galeria f.a.i.t 22.05.2015. **Podczas całonocnej wystawy-działania, nawiązującej tytułem do zbioru obyczajowych felietonów Tadeusza Boya-Żeleńskiego, grupa artystów, muzyków i aktorów realizowała serię działań na pograniczu żywych obrazów, performance i improwizowanego koncertu, tworząc sztafaż dla czytania** ***Dziennika Maliny*** **Joanny Bednarczyk.** **071** Julian Jończyk, *Przygoda ze światłem – Erotyk* (fragment), kolaż, 1984, wł. MNK. **072** Roman Dziadkiewicz, *Przejażdżka z Julianem Jończykiem*, limuzyna / przestrzeń publiczna 15.09.2015. **W ramach** ***Powierzchniologii*** **Dziadkiewicz zabrał na przejażdżkę pracę Juliana Jończyka** ***Przygoda ze światłem – Erotyk*****, w której autor przedstawił dokumentację erotyczno-mistycznego gestu wystawienia na działanie promieni słonecznych stóp ułożonych w kształt waginalny. Dziadkiewicz podczas przejażdżki przetworzył gest, poddając własne stopy działaniu jajka.** **085** Wojciech Ćwiertniewicz, *Bez tytułu (73),*

olej na płótnie, fotografie, 2006. Obraz sfotografowany podczas ekspozycji *...i inne gwiazdy* w Galerii Broń i Barwa w Polsce w MNK, której kuratorem był Dziadkiewicz. Akt Ćwiertniewicza przedstawiający mężczyznę w neutralnej pozie na neutralnym, perłowym tle poetycko i prowokacyjnie dopełnił muzealną narrację batalistyczną, podkreślając nieobecność męskiego ciała – podstawowej materii eksploatowanej podczas uprawiania wojennego rzemiosła. ≡ 086 Tomasz Wójcik, *Wirus 1*, *Wirus 2*, *Wirus 3*, lampy, 2013, fragment ekspozycji *...i inne gwiazdy*, MNK 22–31.05.2015. Współczesne lampy zostały wyeksponowane w Galerii Rzemiosła Artystycznego wśród skumulowanych obiektów z czasów rozkwitu przemysłu ciężkiego i wydobywczego. Wykonane z materiałów wtórnych, czyli z przetworzonych kopalin dzieła Tomasza Wójcika, stanowiły przewrotny komentarz do prezentacji XVIII i XIX-wiecznego rzemiosła, kultury akumulacji i historii muzealnictwa. ≡ 099 *Ensemble* Dziadkiewicz, *Powierzchniologia (krajobraz ze scenami idyllicznymi)*, MNK 14.10.2015. Scena uchwycona podczas ośmiogodzinnego *ensemble* – żywy obraz nawiązujący do dzieła Józefa Pankiewicza *Krajobraz prowansalski ze scenami idyllicznymi*. ≡ 100 Roman Dziadkiewicz, *Mycie okna (witraż wideo)*, performance / wideo, Jasny Dom 24–25.10.2015. Ostatni epizod cyklu *Powierzchniologia*. Mycie okna jako *ensemble*, witraż, żywy obraz, czynność choreograficzna, polityczna, doświadczenie wizualne, percepcyjne i performatywne. ≡ 101 *Ensemble* Dziadkiewicz, sesja w przestrzeni wystawy *Reflektorem w mrok*, Galeria f.a.i.t 22.05.2015. Ujęcie z prób do projektu-środowiska – wielowątkowej aktualizacji krakowskiego salonu, spotkania trzech awangard, osób, dzieł i archiwaliów. ≡ 102 Julian Jończyk, *Księga autoportretów*, kolaż 1980, wł. MNK, fragment ekspozycji *...i inne gwiazdy*, MNK 22–31.05.2015. W ramach projektu *...i inne gwiazdy* w Galerii Rzemiosła Artystycznego zaprezentowane zostały *tablice konceptualne* Jończyka. Ta swoista dokumentacja wykonywanych w przestrzeni prywatnej dokamerowych performance, podczas których artysta wchodził swoim nagim ciałem w zmysłowe relacje ze światłem, doskonale współgrała z romańskimi witrażami z krakowskiego kościoła Św. Trójcy, które w sposób kreatywny konserwował Stanisław Wyspiański, pozostawiając na nich wyraźne ślady swej wyobraźni. ≡ 103 Roman Dziadkiewicz, *Spotkanie Andrzeja Pawłowskiego i Jerzego Rosołowicza*, w ramach *Spaceru z Jerzym Rosołowiczem*, Jasny Dom, Kraków 04.09.2015. Ważnym elementem spaceru z Rosołowiczem było metaforyczne spotkanie z Andrzejem Pawłowskim, które przybrało formę multimedialnego performance. *Neutronikon-P24* został umieszczony przez Dziadkiewicza wewnątrz maszyny do projekcji *Kineform*. Artysta użył pryzmatów Rosołowicza do rozszczepienia promieni, które zgodnie z ideą Pawłowskiego stworzyły na ekranie abstrakcyjne formy świetlne. ≡ 104 Roman Dziadkiewicz / Wojtek Ratajczak, *Kineformy Andrzeja Pawłowskiego (rekonstrukcja)*. W ramach projektu *prom/ieni\otwórczość. twoje oczy są ciekawsze od słońca* Dziadkiewicz i Wojtek Ratajczak wraz z grupą studentów i studentek Wydziału Intermediów ASP w Krakowie dokonali pierwszej udanej rekonstrukcji maszyny do projekcji *Kineform* Andrzeja Pawłowskiego. Promienie światła przepuszczane przez półprzeźroczyste przedmioty i zestaw soczewek tworzą na ekranie fascynujące abstrakcyjne wzory o całkowicie ciągłym i analogowym charakterze.

Pokazom towarzyszy muzyka, nawiązująca do materiałów źródłowych z lat pięćdziesiątych lub grana na żywo. ≡ 105 *Little Gem* – mgławica planet odkryta przez teleskop Hubble'a. ≡ 106 Roman Dziadkiewicz, *Przejażdżka z Julianem Jończykiem*, limuzyna / przestrzeń publiczna, Kraków 15.09.2015. Podczas przejażdżki z Jończykiem Dziadkiewicz wchodził w interakcję z dziełem oraz zaproszonymi do samochodu osobami. Czytał fragmenty *Historii oka* Georges'a Bataille'a, której lektura była kontekstem dla mikro performance z wykorzystaniem światła, mleka i jajek. Dziadkiewicz obierał jajka, jadł je i częstował nimi innych uczestników zdarzenia. Ze skorupek tworzył efemeryczne kolaże, dla których tłem było lustro, *Jończyk* oraz twarz Olgi, uczestniczki przejażdżki. ≡ 107 *Ensemble* Dziadkiewicz, *Powierzchniologia (krajobraz ze scenami idyllicznymi)*, MNK, 14.10.2015. Działania wizualne z użyciem luster, folii, kalek i innych materiałów maskujących oraz z udziałem uczestników i uczestniczek zdarzenia były ważnym elementem ośmiogodzinnego *ensemble* w Galerii Sztuki Polskiej XX wieku. ≡ 108 Andrzej Pawłowski, *Kadr z notatek filmowych*, ok. 1961–1962, wł. ASP w Krakowie. Na wystawie *...i inne gwiazdy* prezentowany był wybór niedawno odkrytych taśm z filmową dokumentacją działań w ramach zajęć *Kształtowanie przedmiotu*, prowadzonych przez adiunkta Andrzeja Pawłowskiego. Subtelne akcje z obiektami i modelami, oparte na zasadzie *Formy Naturalnie Kształtowanej* przeplatane były pełnymi poczucia humoru wystąpieniami uczestników, przybierającymi formę niemal slapstickowych etiud. W kadrze studentka podczas pracy nad modelem lampy. ≡ 112 *Apla Pantone Cool Gray 10.* W rzeczywistości *Powierzchniologii* czerń nie istnieje. Zastępują ją precyzyjnie dobierane odcienie szarości. ≡ 120-121 Kaja Gliwa / Roman Dziadkiewicz, *Odwrócone „Panny dworskie" Diego Velázqueza. Bez nich nasza aseptyczna rzeczywistość byłaby całkowicie biała z elementami transparentnymi i zwierciadlanymi*.

Roman Dziadkiewicz, *Powierzchniologia*
Kuratorzy: Agnieszka Kilian, Dominik Kuryłek
Produkcja: Martyna Nowicka
Redakcja: Joanna Bednarczyk
Korekta: Joanna Bednarczyk,
Adam Ladziński, Jarosław Wójtowicz
Opracowanie graficzne i skład: Kaja Gliwa
Autorzy zdjęć i ilustracji: Roman Dziadkiewicz (s.: 1, 57, 85, 86, 102), Kaja Gliwa (s.: 2, 3, 120), NASA (s.: 105), Andrzej Pawłowski (s.: 108), Wojtek Ratajczak (s.: 15, 16, 29, 30, 43, 44, 71, 72, 99, 100, 101, 104, 106, 107), Bogdan Zimowski (s.: 58), Mirosław Żak (s.: 103)

copyright © for the texts by the Authors
copyright © for the illustrations by the Authors, Collectors, Muzeum Narodowe w Krakowie, Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie, ESA/Hubble & NASA.

W tekst narracji zostały wplecione bez podania źródeł pojedyncze, krótkie fragmenty lub bezpośrednie nawiązania do *Maszyny różnicowej* Williama Gibsona i Bruce Sterlinga, informacji medialnej Jacka Malinowskiego do wystawy *Obudowa / Gehause* w Austriackim Forum Kultury, anonimowych wpisów z forów internetowych oraz serwisu Wikipedia.

Publikacja wydana w ramach programu
Place Called Space
realizowanego przez Fundację Imago Mundi
www.placecalledspace.org

IMAGO MUNDI

Druk: Drukarnia Know-How
ISBN 978-83-925914-4-3
e-book, edycja nielimitowana

Podziękowania:
Józef Chrobak, Karol Chrobak, Wojtek Ćwiertniewicz, Piotr Bożyk, Marcel Borowiec, Bruno Dziadkiewicz, Maria Dziedzic, Kuba Falkowski, Zofia Gołubiew, Anna Kłosowska, Karol Kowalik, Andrzej Kowalczyk, Olga Kowalska, Magda i Gaweł Kownaccy, Dawid Kozłowski, Paweł Kruk, Maria-Weronika Lorek, Mira Marcinów, Piotr Mierzwa, Maciej Pawłowski, Marcin Pawłowski, Marek Pawłowski, Jakub Piecuch, Tomek Saciłowski, Bogusław Sławiński, Marek Świca, Artur Tajber, Jan Trzupek, Tomasz Wójcik.

Kraków 2015

PROGRAM REGIONALNY
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI
Małopolska
UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO

Fundusze Europejskie dla Małopolski

Powierzchniologia osadzona jest w nieokreślonej przyszłości, w której wypracowany i uwewnętrzniony przez całą populację reżim nadwrażliwości, egalitaryzmu, transparentności i *slowmotion* – wyprowadzony z przestrzeni i logiki działania nowoczesnych, doskonale klimatyzowanych instytucji sztuki, archiwów, terenów rekreacyjnych i portali społecznościowych – znakomicie funkcjonuje w porewolucyjnej, globalnej rzeczywistości. Nowa cywilizacja oparta jest na pełnej redystrybucji dóbr, równości walut, ludzi i nie-ludzi oraz na bezwarunkowej empatii do istot żywych, nieżywych i ożywionych na nowo. Konflikty wewnętrzne i zewnętrzne zawieszono. Nad wszystkim wisi mgiełka słodkawej nudy i cudowny spokój, osiągnięty dzięki rozwiązaniu niemal wszystkich dialektycznych napięć w człowieku i w jego otoczeniu. Ludzkość po raz pierwszy w swej długiej historii może być i jest z siebie dumna. Obcy – turyści, badacze i imigranci – coraz chętniej przybywają na naszą zmęczoną planetę, witani z otwartymi kończynami. Środowisko naturalne powoli odzyskuje jakość sprzed długiej, bolesnej ery antropocenu. Mieszkańcy i przyjezdni żyją w otwartych związkach o różnym charakterze. Jednocześnie szanują swoją odrębność, co pozwala im zachować dystans, higienę i autonomię. Wszyscy wykształceni w nowym systemie czują, wiedzą i rozumieją, czego chcą. Potrafią to artykułować i dzielić się tym z innymi. Dla siebie, swoich bliskich i potomnych chcą dokładnie tego samego. Historia bynajmniej się nie skończyła. Badacze i badaczki piszą ją w chmurach i w formach otwartych. Obywatele i obywatelki podróżują w czasie i przestrzeni, są po wielu transplantacjach, terapiach hormonalnych i genetycznych. A sztuką jest to, czemu oddają się z miłości do samych siebie.